Rok IX. Nr. 4.

ROCZNIKI

OBYDWÓCH ZGROMADZEŃ

Św. WINCENTEGO à PAULO.

Październik.

KRAKÓW.
Wydawnictwo i nakład XX. Misyonarzy.
1903.

TREŚĆ ZESZYTU.

Podwyższenie prenumeraty:

Prenumerata wynosi rocznie **7 Kor. (7 Mk.)**



LEON XIII.

Ze czcią i miłością wspomnieć nam trzeba świętej a nieśmiertelnej pamięci papieża Leona XIII. Czuły i troskliwy ojciec całego Kościoła był także czułym i troskliwym bardzo ojcem zgromadzeń zakonnych. Ileż zawdzięcza mu n. p. zjednoczony jego ręką i odnowiony zakon św. Franciszka lub zakon OO. Benedyktynów.

Podwójna też rodzina św. Wincentego à Paulo miała w tym wielkim papieżu niemniej pieczołowitego i życzliwego opiekuna. Papież robotników i klas ubogich pokochał całem sercem Ojca ubogich, św. Wincentego i jego dzieci; ogłosił świętego założyciela naszego Patronem wszystkich stowarzyszeń miłosiernych i dobroczynnych; wyniósł na ołtarze błogosławionych Męczenników naszych Perboyre'a i Clet'a; życzliwem okiem śledził wszczęte sprawy kanonizacyjne: Wbnej Ludwiki de Marillac, współzałożycielki SS. Miłosierdzia, oraz innych świątobliwych Sióstr i Misyonarzy, jak S. Katarzyny Labouré, SS. Męczenniczek z Cambrai (1794), biskupa de Jacobis,

X. de Andreis. Ilekroć najczcigodniejszy Ojciec Jenerał obydwóch Zgromadzeń zwrócił się do Leona XIII-go z prośbą o nowe łaski dla swych podwładnych, nader uprzejmego doznawał przyjęcia. Zmarły też papież, w roku 1882 zacieśnił węzeł, łączący obydwa Zgromadzenia, zatwierdzając pierwotną bezpośrednią zależność SS. Miłosierdzia od przełożonego jeneralnego XX. Misyonarzy. Z woli Leona XIII. powstał nasz dom rzymski dla studyów.

Ileż ważnych powierzył nam Leon XIII. posterunków misyjnych we wszystkich częściach świata, iluż konfratrów zaszczycił godnością biskupią! Siostry Miłosierdzia były to jego ukochane córki, chciał je nawet mieć w samym Watykanie (dom św. Marty).

Imię też Leona XIII., tak wyraźnie i dodatnio zapisane w historyi Zgromadzeń naszych, pozostanie na zawsze wyryte w naszych sercach i pamięci.

Leon XIII. umarł nazajutrz po uroczystości św. Wincentego dnia 20 lipca 1903 r. o 4 godzinie popołudniu.

* * *

Jego Świątobliwość Pius X.

Dnia 4 sierpnia 1903 r. otrzymał Kościół św. następcę Leona XIII. na stolicy papieskiej w osobie kardynała Józefa Sarto, arcybiskupa i patryarchy Wenecyi, obecnie Piusa X.

W osobie Jego Św. Piusa X. witamy zastępcę Jezusa Chrystusa, ojca chrześcijaństwa i ojca naszego. Chętnem i szczerem sercem ślubujemy mu posłuszeństwo przekazane nam testamentem przez św. Wincentego względem Stolicy apostolskiej, którego nazywamy w litanii *cathedrae Sti Petri addictissimus,* Stolicy św. Piotra najposłuszniejszym. Chętnie i szczerem sercem pracować będziemy nad pouczaniem wiernych prawd wiecznych i nad wychowywaniem wzorowego kleru, co według pierwszej encykliki Jego Świątobliwości najbardziej leży na sercu nowemu Ojcu św.

Pius X. urodził się w Riese, dyecezyi Treviso, miasteczku północnych Włoch, dawnej rzeczypospoltej weneckiej, dnia 2 czerwca 1835 r. Ukończywszy studya teologiczne w seminaryum w Padwie, przyjął święcenia kapłańskie 17 września 1858 r. Był proboszczem w Tombolo, potem w Salzano. W roku 1875 zostaje kanonikiem i Ojcem duchownym w seminaryum w Treviso, potem wikaryuszem kapitularnym.

Na konsystorzu z dnia 10 listopada 1894 roku został mianowany biskupem Mantuy. Dnia 12 czerwca 1903 otrzymuje kapelusz kardynalski, trzy dni później patryarchat Wenecyi.

Pierwszym dowodem życzliwości nowego Ojca św. dla obydwu Zgromadzeń jest nowo ustanowione święto Opieki św. Wincentego à Paulo, przypadające na dzień 20 grudnia.

KRÓTKI RYS HISTORYCZNY
MAŁEGO SEMINARYUM XX. MISYONARZY W KRAKOWIE

z okazyi 25-letniego jubileuszu.

W bieżącym roku trzy różne jubileusze obchodziliśmy, które żywo zajmowały nasz umysł i serca.

Pierwszy jubileusz obchodziliśmy radośnie z całym powszechnym Kościołem, t. j. 25-letni pontyfikat Papieża Leona XIII., który dożył dni apostoła Piotra św. Niesłychany to fakt w dziejach Kościoła św., że dwóch papieży bezpośrednio po sobie następujących, święciło 25-letni jubileusz swego papiestwa. O czem wieki przyszłe ze czcią i uwielbieniem wspominać będą, myśmy to widzieli i w uroczystościach żywy udział brali.

Drugi jubileusz 25-letni przypada właśnie w tym czasie, a odnosi się do obydwóch rodzin św. Wincentego à Paulo. Tego bowiem roku i w tym miesiącu objął rządy naszych Zgromadzeń Najczcigodniejszy O. Generał Fiat, godny zastępca św. Wincentego. Nie tu pora i miejsce pisać o tej radosnej uroczystości. To tylko zaznaczyć można, że wszystkie serca synów św. Wincentego i Sióstr Miłosierdzia, łączą się w dziękczynnych modłach do Boga, że im dał tak dobrego Ojca, który lubo pracą i wiekiem, a w ostatnim czasie i prześladowaniem przygnieciony, nietylko nie przestaje nam przyświecać świętości przykładem, lecz owszem mądrze przewodniczy i prowadzi nas drogą przez naszego św. Założyciela wskazaną.

Trzeci wreszcie 25-letni jubileusz bliżej obchodzi jedną gałąź Zgromadzenia Misyi, rozsianego po całym świecie, t. j. naszą maluczką prowincyę polską, krakowską zwaną.

W tym samym roku upłynęło właśnie 25 lat założenia naszego Małego Seminaryum XX. Misyonarzy w Krakowie. Obchód tej uroczystości podany był w poprzednich naszych Rocznikach, tu tylko chcemy uzupełnić tamto sprawozdanie krótkim rysem historycznym tegoż zakładu.

Nie jakaś próżna demonstracya, lecz wdzięczność ku Bogu, skłoniła nas do tego, żeśmy się na ten radosny obchód zgodzili, oraz wdzięczność dla Zgromadzenia, któremu po Bogu zawdzięczamy to wszystko, co dobrego posiadamy. To też dziękowaliśmy Bogu nietylko osobnem nabożeństwem, w kościele odprawionem, lecz przedewszystkiem czynami i poświęceniem się w duchu naszego powołania nasze dobre usposobienia zatwierdzać pragniemy.

W tym też celu chcemy sobie tu przypomnieć dobrodziejstwa, jakie Opatrzność Boska na nas przez 25 lat zsyłała, oraz porachować się z sobą, czyśmy choć w części zamiarom Bożym odpowiedzieli, oraz nadziejom Zgromadzenia zadość uczynili. To wszystko jaśniej się nam przedstawi, gdy przypomnimy sobie początki Małego Seminaryum, jego dalszy rozwój, oraz obecny stan osób i prac, do jakich Bóg raczył użyć byłych wychowanków tejże szkoły apostolskiej.

I. Narzędziem, którego Pan Bóg użył do założenia naszego Małego Seminaryum, był ś. p. X. Piotr Soubielle, rodem Francuz, dla którego Polska stała się drugą ojczyzną. Był to w całem słowa tego znaczeniu mąż opatrznościowy dla naszej prowincyi polskiej i jego 34-letnie rządy złotemi literami wypisane będą w sercach Misyonarzy polskich i Sióstr Miłosierdzia w Galicyi.

Gdy X. Soubielle z woli O. Generała Etienne przybył do Krakowa, z tytułem wizytatora prowincyi krakowskiej w r. 1866, Zgromadzenie nasze w Polsce ledwie że wegetowało. W Królestwie Polskiem i na Litwie po kasacie od roku

1864 rozpędzeni Misyonarze, podzielili losy innych zakonów i zgromadzeń i rozeszli się po obszernem imperyum rosyjskiem; niektórzy nawet zaludniali zimne okolice Syberyi, — garstka zaledwie podążyła na zachód. Pod zaborem pruskim ostał się jeden tylko dom w Chełmnie, który niebawem przemoc pruska po wojnie prusko-francuskiej znieść miała. W Galicyi zaś przetrwał wszystkie burze polityczne stary i wielki dom w Krakowie na Stradomiu, gdzie kilku konfratrów przemieszkiwało, zajętych wychowaniem kleru świeckiego. Na Kleparzu zastał X. Soubielle mały dom przy ulicy św. Filipa, który kilku Misyonarzy od r. 1863 zamieszkiwało.

Jakież to trudności do przezwyciężenia miał zaraz na wstępie ś. p. X. Soubielle. Cudzoziemiec nie znający ani języka polskiego, ani naszych narodowych zwyczajów, obejmuje rządy nad obydwoma rodzinami św. Wincentego à Paulo. Zaczął swą działalność od modlitwy i pracy nad ubogiemi i biednemi dziećmi, a potem chciał stopniowo rozszerzać pole pracy apostolskiej, lecz na to potrzeba było robotników pańskich, których nie było dosyć. W tym też celu 15 sierpnia 1867 r. otwiera nowicyat na Kleparzu, czyli tak zwane Seminaryum internum dla kleryków, którzy mieli zamiar wstąpić do naszego Zgromadzenia. Niestety, ciężkich tu doznał zawodów! Albowiem przez 14 lat, t. j. od 1867 — 1882 roku przesunęło się przez ów nowicyat coś czterdziestu kleryków i kilku kapłanów a z pomiędzy tylu jeden tylko został Misyonarzem X. Kazimierz Siemaszko, inni albo opuścili Zgromadzenie, albo poumierali. Było to więc niemal rozpaczliwe położenie i prawie bez wyjścia. Sam ś. p. X. Soubielle w dzień obchodu swego 50-letniego kapłaństwa 1899 r. odsłonił nam swe uczucia, jakie jego duszę wówczas przejmowały.

— „Po kilku latach zawodów tego rodzaju modliłem się w kaplicy — opowiadał nam Czcigodny Jubilat. — Rozmyślałem o stanie prowincyi: kilku zaledwie kapłanów jest tutaj i to przeważnie starcy i schorzali; kiedy ci umrą, co będzie ze Zgromadzeniem? co ja mam robić, mój Boże?! Mamże założyć ręce i czekać końca? A tu słyszę głos, który jeszcze

dziś tętni w uszach moich: „Nie bój się! prowincya będzie i misye będą. Zgromadzenie nie zginie“.

Podniosło go to na duchu i czekał cierpliwie, kiedy Pan Jezus swą obietnicę spełni. I nie zawiódł się w swej nadziei. Urzeczywistnieniem tych obietnic i nadziei było założenie Małego Seminaryum misyonarskiego w Krakowie w r. 1878.

Ci konfratrzy, którzy znali bliżej X. Soubielle, opowiadali nam, że już w r. 1874 powziął plan założenia tegoż zakładu. Było to właśnie w tym czasie, kiedy po śmierci O. Generała Etienne zebrali się delegaci w Paryżu dla obioru nowego Generała. Kiedy radzono nad sposobami pomnożenia powołań dla Zgromadzenia, X. Eugeniusz Boré, następca ś. p. X. Etienne rzucił nową myśl, aby zakładać po prowincyach Zgromadzenia Misyi Małe Seminarya, czyli szkoły apostolskie, gdzieby młodzież od samego początku kształciła się na przyszłych Misyonarzy. Myśl ta mocno utkwiła w duszy X. Soubielle i nie opuściła go aż ją po kilku latach w czyn przeprowadził. Do tego przedsięwzięcia ciągłą podnietą były zachęty X. Boré. Mąż ów, obok niepospolitych zdolności, posiadał wszechstronne wykształcenie i w całej Europie cieszył się sławą uczonego badacza i znawcy stosunków na Wschodzie. On to przez zakładanie szkół i Misyj szerzył prawdziwą cywilizacyę i katolicyzm w Małej Azyi i Turcyi i przez to sprawie Kościoła katolickiego i swej ojczyźnie oddał niespożyte zasługi. Zostawszy generalnym przełożonym Zgromadzenia Misyi, niezmordowanie dążył do tego, aby obok zachowania pierwotnego ducha rozbudzić zamiłowanie większe do nauk wszechstronniejszych. Podczas swego pobytu w Krakowie, z okazyi wizyty domu kleparskiego 11 sierpnia 1877 r. żywo się interesował nietylko domami XX. Misyonarzy i Sióstr Miłosierdzia, lecz także badał stosunki Polski i Kraków, zwłaszcza katedra z grobami królów i bohaterów polskich, wielkie na nim zrobiła wrażenie, co wszystko w liście okólnym 1878 roku krótko przed swą śmiercią opisał. Ubolewa tamże, iż powołania na Misyonarzy stopniowo się zmniejszają, a śmierć lub świat bierze nowe ofiary tak na Stradomiu, jak

i na Kleparzu, mimo, że X. Soubielle nie szczędzi starań i zabiegów, aby temu zaradzić przez wychowanie kleryków w Seminaryum internum.

„To wszystko — pisze we wspomnianym liście — skłoniło mnie, że nalegałem na X. Soubielle, aby założył szkołę apostolską i zasilił ją chłopaczkami, którzy chodzą na katechizm do księży, gdyż tylko młodzież zachowana od zepsucia, może kiedyś z pożytkiem pracować w Zgromadzeniu Misyi. Taki mają cel wszystkie tak zwane „zakłady apostolskie“, które wiele instytucyj religijnych u siebie zaprowadziło i z powodzeniem je dalej prowadzą“. Tak radził i nalegał mocno na X. Soubielle ów zacny i uczony X. Eugeniusz Boré z początkiem nowego roku 1878. Wszelako przedsięwzięcie tego rodzaju wydawało się niemal niepodobnem i nadludzkiem wobec braku funduszów i ludzi, którymby można powierzyć i wychowanie i nauki dla młodzieży przyszłego Małego Seminaryum, a Misyonarze ówcześni różnoraką pracą już i tak byli przeciążeni.

Dodać należy, że nie było odpowiedniego pomieszczenia na nowy zakład naukowy, który z biegiem lat miał się rozwijać. Po ludzku sądząc, nie było widoków powodzenia w tem przedsięwzięciu. Mimo to X. Soubielle dzieło to rozpoczął. Zaraz bowiem na początku 1878 r. otrzymały Siostry Miłosierdzia z Przeworska polecenie, aby upatrzyły kilku chłopców dobrych, którzyby mogli 21 września tego roku przybyć do Krakowa i stanowić podwaliny Małego Seminaryum. Z pomiędzy 8 uczniów wybranych byli dzisiejsi księża: X. Józef Sokołowicz, X. Wincenty Rożek i X. Jakób Konieczny, wszyscy rodem z pod Przeworska. Z innych stron przybyli: dzisiejszy X. Walenty Ciopalski ze Śląska pruskiego; X. Felicyan Bystrzonowski z Krakowa i inni studenci, którzy potem opuścili Zgromadzenie. Taki był plan X. wizytatora Soubielle, aby po 12 uczniów co rok przyjmować, a następnie chciał tę dwunastkę przeprowadzać do Seminaryum internum, a wreszcie tyluż do kapłaństwa. Był to oczywiście plan idealny,

lecz ze względu na ludzkie stosunki prawie niemożliwy do wykonania, gdyż znaczny procent młodzieży zawsze odpadał, już to z braku powołania kapłańskiego, już też dla braku potrzebnych usposobień i kwalifikacyj.

Dnia tedy 21 września 1878 r. przyjechali pierwsi wychowankowie Małego Seminaryum do Krakowa, a już 23 września rozpoczęły się pierwsze wykłady naukowe. Dzieło więc było rozpoczęte.

Uczucie podziwu przejmuje nas teraz, gdy cofniemy się myślą wstecz do tej ważnej chwili w rozwoju Zgromadzenia w Polsce. Wtedy to, o ile mogliśmy się dowiedzieć, nie było tego rodzaju szkół apostolskich ani we Francyi, ani w innych krajach, w których Zgromadzenie Misyi osiadło. Były wprawdzie dość liczne Małe Seminarya po dyecezyach, którymi przeważnie zarządzali nasi konfratrzy, n. p. we Francyi w roku 1874 było ich 20, lecz młodzież tamże się kształcąca miała zasilać kler dyecezyalny, świecki. Zakładać Małe Seminaryum li tylko dla wychowania przyszłych członków Zgromadzenia, była to chwalebna nowość, którą wówczas najbiedniejsza prowincya krakowska poszczycić się mogła. Za przykładem Krakowa, jak się zdaje, poszły i inne prowincye Zgromadzenia Misyi, i kiedy po śmierci X. Boré zebrali się delegaci na konwent generalny w Paryżu, mógł ś. p. X. Soubielle zgromadzonym Ojcom powiedzieć, iż w Krakowie istnieje szkoła apostolska.

Instytucyę tego rodzaju jak najgoręcej pochwalił konwent generalny z 1890 roku.

Przez założenie Małego Seminaryum w Krakowie najżywotniejsza kwestya istnienia dalszego prowincyi polskiej została szczęśliwie zażegnana.

Można powiedzieć, że tą szkołą apostolską zapewnił X. wizytator Soubielle przyszłość Zgromadzenia w Polsce. To też w następnych latach pisząc do Roczników francuskich, nie omieszkał X. Soubielle z radością wspominać o dziele, przez siebie założonem. Odtąd mógł z błogą ufnością patrzeć w przyszłość. Z biegiem czasu dzięki wychowankom

Małego Seminaryum pod kierownictwem X. Soubielle, rozwijały się kolejno niemal wszystkie dzieła w spuściźnie nam przez świętego Wincentego przekazane. Tak tedy owe tajemnicze słowa, niegdyś słyszane, spełniły się: „Nie bój się, prowincya będzie i misye będą — Zgromadzenie nie zginie“. Jakże za to wszystko Boga nie uwielbiać: od Pana się to stało i jest dziwnem w oczach naszych.

II. Drugim mężem, można powiedzieć opatrznościowym dla Małego Seminaryum był pierwszy jego dyrektor X. Jan Binek, rodem z Odolanowa, w Księstwie Poznańskiem. Jeśli X. wizytator Soubielle dał podwaliny pod to dzieło, to X. Binek wlał w nie ducha Bożego i był niejako jego duszą i sercem. On to bowiem całkowicie oddał się pracy nad wychowaniem młodzieży wybranej, a swymi gorącymi modły i swem świętem życiem ściągnął błogosławieństwo Boże na ów zakład rozpoczęty.

Każdy kto znał bliżej tego kapłana, uważał go za świętego, zwłaszcza w ostatnich latach jego życia. Jakiś nadprzyrodzony urok i Boże namaszczenie otaczało i przenikało jego osobę. Kto widział tego kapłana Mszę św. odprawiającego, lub złączonego z Bogiem na modlitwie, ten nigdy chyba nie zapomni wrażenia, jaki go na ten widok przejmował. Żywą wiarą jakoby patrzał na Boga, a można przypuszczać, że Pan wnętrznie w sposób szczególniejszy mu się udzielał; widocznem było, że ów świątobliwy kapłan odczuwał wyraźnie żywą obecność Boga w swej duszy, tak był bowiem zajęty Bogiem i całkiem od rzeczy zewnętrznych oderwany. Kiedy zaś zwrócił swój łagodny lecz przenikliwy wzrok na którego ze swych wychowanków, zdawało się, że przenika tajniki jego duszy. Miłość Boża tak przenikała jego ducha, że wyrywała mu się ognistemi słowy ze serca i chociaż te słowa były tak proste, dziwnie jednak wnikały do serca jego słuchaczy. Ćwierć wieku upłynęło od tego czasu, a dźwięki słów tego kapłana rozgorzałego miłością Bożą, brzmią w uszach tych, którzy go słyszeli, żeby nad wszystko kochać Boga i wiernie służyć Panu Jezusowi. Kiedy zwykle po Mszy św. odprawiał w sali przy-

gotowawczej swe dziękczynienie, cisza panowała głęboka pośród młodzieży, bo wszyscy czuli, że sługa Boży jest na miłej rozmowie ze swym Panem, że to miejsce jest święte, jakoby brama niebios się otworzyła. Mury naszego kościółka i tego domu są niemymi świadkami jego cnót ukrytych i zdają się jeszcze tchnąć świętością tego kapłana, na którego ustach i w sercu były ciągłe akty strzeliste miłości rzewnej ku Bogu i ku Najśw. Maryi Pannie. *Ave Maria* szeptał prawie ustawicznie, gdy był na schodach lub przechodził kurytarzem. Przy tem ta jego pobożność była nad wyraz miła i pociągająca. Zawsze był wesół i z obliczem pogodnem i rozpromienionem chodził pośród młodzieży, a każdy rad był zbliżyć się do niego i czuł się szczęśliwym i na duchu podniesionym, gdy mógł z nim pomówić. Nic więc dziwnego, że serca wychowanków całkiem mu się oddawały, a przytem każdy miał ku niemu szacunek najgłębszy. Wszyscy mówili mu ojciec! ale tak szczerze jak dzieci i jeden drugiego pilnie przestrzegał, żeby w niczem go nie zasmucić. I rzeczywiście na imię ojca zasługiwał, bo kochał po Bożemu swych wychowanków i stał się wszystkiem dla wszystkich. Oddany duszą i sercem wychowaniu poruczonej sobie młodzieży, nie oszczędzał siebie w niczem, chociaż był tak wątły i jego zdrowie ciężkiemi było nadwątlone chorobami.

Z łagodnością łączył X. Binek pewną sprężystość, umiał być nawet surowym, gdy było potrzeba. Do celu dążył z mocą i siłą, a łagodnym był w środkach; to też w całej pełni umiał zbawienną karność w Małem Seminaryum podtrzymać. Już święci ojcowie jak n. p. św. Jan Chryzostom zalecali i praktykowali w wychowaniu młodzieży tak zwaną metodę prewencyjną czyli zapobiegawczą, która polega na strzeżeniu młodzieży od złego przez odjęcie im wszelkiej sposobności ku temu. Tego trzymał się ów pierwszy dyrektor naszego Małego Seminaryum; oko jego śledziło prawie ustawicznie młodych seminarzystów, karność zaś owa nie była zewnętrzna, ale wypływała z głębokiego poczucia obowiązku, z miłości ku Bogu, owocem zasad głęboko zakorzenionych w młodocianych

sercach; słowem delikatna sumienność. Umiał też doskonale ćwiczyć młodzież w zaparciu siebie, w ślepem posłuszeństwie, w umartwieniu zmysłów, serca i ducha. Nikt nie poważyłby się n. p. podnieść owocu ze ziemi bez jego pozwolenia, nieraz trzeba było cierpliwie stać pod drzwiami refektarza, gdy był zamknięty. „Czekajcie trochę aż wam otworzą — mawiał — a uczcie się cierpliwości“. Uczył też zamiłowania w ubóstwie obywać się bez wielu rzeczy niby to potrzebnych. Słowem był to jakoby nowicyat jak w najostrzejszym chyba zakonie, lecz umiał ów dobry ojciec tak jego surowość złagodzić miłością i słodyczą, iż się nie miało przykrości. Wszystko dla miłości Boga, Bóg tak chce, oto hasło, jakie ożywiało podówczas Małe Seminaryum. W tem nagła śmierć spowodowana silnym krwiotokiem, przecięła pasmo dni jego świątobliwego żywota po 3 latach dyrektorstwa dnia 31 lipca 1881 roku i okryła grubą żałobą nieliczne Zgromadzenia i wychowanków Małego Seminaryum.

Umarł X. Jan Binek, ale mamy nadzieję, że duch jego choć w części z nami pozostał, a błogosławieństwa Bożego teraz z nieba dla nas wypraszać nie przestanie.

III. Wreszcie dalszy rozwój, zwłaszcza w kierunku naukowym zawdzięcza Małe Seminaryum trzem kapłanom: X. Józefowi Kiedrowskiemu, X. Ignacemu Warmińskiemu i X. Eugeniuszowi Lechevallier. Można powiedzieć, że X. Soubielle założył Małe Seminaryum, X. Jan Binek ożywił je duchem Bożym, a owi trzej kapłani wskazali mu wytyczne drogi, jakimi odtąd z większem lub mniejszem powodzeniem w dalsze lata kroczyć miało. Po śmierci X. Jana Binka poruczono kierownictwo Małego Seminaryum X. Józefowi Kiedrowskiemu, który wówczas w Galicyi wschodniej misye odprawiał. Nie chcemy o żyjących mówić pochlebnie, lecz to zaznaczyć trzeba, że obecny X. Wizytator Kiedrowski obok pobożności usiłował rozbudzić w swych wychowankach zamiłowanie do prac misyonarskich, a przedewszystkiem nauki odpowiednio do czasu na wyższe tory posunąć.

Niegdyś czynny pomocnik X. Jana Koźmiana w wychowywaniu młodzieży w konwikcie szlacheckim w Poznaniu, znał X. Kiedrowski jej potrzeby. Przedewszystkiem zaradził jej potrzebom naukowym. W tym celu wyszukał na profesora dla Małego Seminaryum X. Dra Ignacego Warmińskiego, męża niepospolitych zdolności i wielkiego miłośnika młodzieży, który podówczas z powodu *kulturkampfu* na wygnaniu w Krakowie przesiadywał u PP. Karmelitanek na ulicy Łobzowskiej. Ulegając usilnym prośbom, przeniósł się ów uczony kapłan do naszego domu na Kleparzu i zamieszkał obok Małego Seminaryum i jego dalszymi losami całą duszą i sercem się zajął. Idąc za radami światłymi doktora z Lowanium i wskazówkami X. Eugeniusza Lechevallier, zreformowano studya naukowe, powołano nowe lepsze siły profesorskie z Krakowa, sprowadzono lepsze podręczniki, zaprowadzono bibliotekę podręczną dla Seminaryum, słowem otoczono nauki tą pieczą i miłością, jaka im się słusznie należy.

Odtąd X. Dr. Warmiński był dla uczniów ideałem dobrego profesora, tak, iż największą pochwałą dla innych profesorów było to, gdy o nich można było powiedzieć „uczy jak X. Warmiński“. Był to kapłan uczony w całem tego słowa znaczeniu, a przytem niezmiernie szlachetny i życzliwy dla uczniów. Nikt lepiej i przystępniej od niego nie potrafił wdrażać idei do młodocianych umysłów młodzieży. Jemu to zawdzięcza w wielkiej mierze Małe Seminaryum krakowskie, że strumienie światła nauki ożywiły tę jeszcze młodą i delikatną roślinkę i przyczyniły się do jej rozrostu. Wszyscy uczniowie z żalem żegnali go, gdy po kilku latach pracy nad nim, na stałe przeniósł się do Poznania w charakterze profesora seminaryum dyecezyalnego.

Trzecim mężem, który z X. Kiedrowskim i X. Warmińskim przyczynił się do odrodzenia nauk w Małem Seminaryum był Misyonarz X. Eugeniusz Lechevallier, rodem Francuz, z Paryża przez O. generała Fiat do Polski na dyrektora kleryków, przysłany w lipcu 1881 r. O nim to można twierdzić, że wyniesioną miłość do Zgromadzenia od

grobu św. Wincentego przyniósł do Polski i przeszczepił ją w młodociane serca polskich Misyonarzy. Był on niejako pomostem łączącym zachód z Polską i co tylko dobrego miała Francya, starał się przelać do polskiej młodzieży misyonarskiej, a była w nim odzwierciedlona w całem tego słowa znaczeniu wykwintna i dobroczynna kultura francuska. Jako dyrektor Seminaryum internum i czasowy dyrektor Małego Seminaryum, położył X. Lechevallier największe zasługi dla prowincyi polskiej. Przywiązany całą duszą do Zgromadzenia, starał się usilnie, aby i inni podobne przywiązanie odziedziczyli i w tym celu powtarzał im z uroczą prostotą to wszystko, czem karmił ducha swego w domu macierzystym w Paryżu, a równocześnie uczył nas kochać chwalebną przeszłość tak narodu, jakoteż Zgromadzenia w Polsce, którego dzieje znał dokładnie. Stąd też jego metoda wychowania miała dziwnie miły i powabny charakter. Cnota wydawała się przez to rzeczą łatwą i jakoby się nie chciało przypuszczać, aby ofiara mogła być za ciężką temu, kto się raz Bogu oddał całkowicie. A nadto zacny ów kapłan swą prostotą i roztropnością obudzał zaufanie u wszystkich, a miłem obejściem zjednywał sobie serca konfratrów. Prostota dziecka z głęboką inteligencyą i duchem spostrzegawczym dziwnie jakoś w nim się układały, a przytem odznaczał się niepospolitą zdolnością oryentowania się we wszystkiem i zawsze i wszędzie umiał sobie radzić z dziwną swobodą ducha i serca. To też pogoda umysłu nigdy go nie odstępowała. Był dla nas wzorem wykwintnego i szczerego zachowania się z ludźmi. Dokładnie znał naszą przeszłość dziejową i wyczerpnął stąd trafną i rzadką znajomość charakteru polskiego, jego wad i zalet. Ponad wszystko jednak pokochał lud polski, z którym lubił się stykać i nad nim pracować w konfesyonale; piękne przymioty naszego ludu pociągały jego niewinną a wrażliwą duszę. To też gdy później wrócił do Francyi, tęsknił za polskim ludem.

Ogromną też wagę przywiązywał do nauk, któremi jako profesor i prefekt studyów umiejętnie kierował i w szczegółach wszystko sumiennie opracowywał. Po dziesięcioletnim

pobycie opuścił Kleparz z powodu ciężkiej choroby a niedługo potem O. Generał powołał go do Francyi, gdzie w kilka lat życia dokonał.

Przedstawiwszy sobie prace i zasługi tych pięciu kapłanów, jakie Opatrzność Boża dała Małemu Seminaryum, trudno sobie wyobrazić, jakby się ów Zakład rozwijał, gdyby mu tego rodzaju ludzi zabrakło. Lecz Pan Bóg zawsze pamięta o dziełach swoich. Stąd słuszny powód do wdzięczności ku Bogu za dobrodziejstwo jego, ale też i osobna wdzięczność należy się tym kapłanom, których Opatrzność Boża użyła za narzędzie do przeprowadzenia swych planów i zamiarów nad szkołą apostolską. „Wysławiajmy męże chwalebne i ojce nasze w rodzaju swoim“. *Laudemus viros gloriosos et parentes nostros in generatione sua*“ (Eccl. 44, 1).

Nie tutaj miejsce i pora, aby szczegółowo przechodzić dalsze losy Małego Seminaryum i jego dyrektorów. To tylko można zaznaczyć, że wszyscy usiłowali mniej lub więcej szczęśliwie wytkniętemi drogami kroczyć dalej w rozwoju tego Zakładu.

Dla całości tylko niniejszej pracy podajemy krótkie i suche daty historyczne następnych jego dyrektorów.

Po śmierci X. Jana Binka kierował Małem Seminaryum X. Józef Kiedrowski (od 5 sierpnia 1881 do lipca 1882 r.) i po roku złożył jego losy w ręce X. Melchiora Wdzięcznego, który wówczas osłabiony po ciężkiej chorobie, miał do pomocy dwóch kleryków: Borutę i Hudermanna. Następnego roku już od Wielkanocy 1883 powrócił X. Kiedrowski na swój dawny urząd i sprawował go do grudnia 1884 r., w którym to czasie przeniesiono go na Stradom do seminaryum kleryków świeckich.

Podnieść tu należy, że młodzi seminarzyści poczęli się uczyć śpiewu gregoryańskiego pod kierownictwem X. Kiedrowskiego, a później gorliwie się tem zajął X. Wdzięczny, który prócz tego bardzo się starał o wyćwiczenie swych wychowanków w grze na organach. Jeszcze za czasów X. Kiedrowkiego odbywać się zaczęły przedstawienia amatorskie, którym

nawet X. biskup Janiszewski z zajęciem się przypatrywał. Po usunięciu się X. Kiedrowskiego opiekował się losami Małego Seminaryum X. Eugeniusz Lechevallier. Równocześnie był dyrektorem kleryków w Seminaryum internum. Pomagał mu w pracy nad młodzieżą kleryk Jakób Boruta. Dwa miesiące potem wyświęcony na kapłana 15 lutego 1885 r. objął cały zarząd nad Małem Seminaryum i przetrwał na tem stanowisku aż do swej śmierci, t. j. do 2 lipca 1887 r.

X. Boruta pozostawił po sobie pamięć gorliwego i pobożnego Misyonarza, o wielkiej łagodności i skromności kapłańskiej.

Po zgonie X. Boruty ciężar zarządzenia Małem Seminaryum znowu spadł na X. Lechevallier, który upatrzył sobie odpowiedniego zastępcę w osobie X. Rossmanna i zdał na niego całkowitą pieczę nad młodzieżą, chociaż był jeszcze klerykiem. Zacny ów Misyonarz zostawszy kapłanem dnia 21 grudnia 1889 r., pozostał na tem stanowisku aż do lipca 1891 r. Za czasów X. Rossmanna i za jego inicyatywą poczęto skrzętnie gromadzić różne okazy z dziedziny historyi naturalnej, które stanowiły piękny zawiązek do przyszłego dość pokaźnego muzeum przyrodniczego, jakie po dziśdzień znajduje się na Kleparzu, zapobiegliwością X. Słomińskiego, do rozkwitu doprowadzone. Po X. Rossmanie zamianowano dyrektorem Małego Seminaryum X. Jakóba Koniecznego, który przez 5 lat, t. j. od r. 1891 do 1896 z całą sumiennością jego dalszymi losami się zajmował. Można tu podkreślić fakt, iż zamiłowanie do śpiewu na głosy i muzyki już dawniej rozbudzone, w tym czasie bardzo się rozwinęło i nasi wychowankowie pod kierownictwem fachowych nauczycieli wielkie postępy uczynili.

Rok szkolny 1896 przyniósł niemałą zmianę; przeniesiono bowiem w tym czasie Małe Seminaryum na Nową Wieś Narodową, urząd zaś dyrektora poruczono X. Wojciechowi Wdowickiemu, który całą duszą oddał się wychowaniu młodzieży. Starał się bardzo o nauki, ale umiał pożytecznie uprzyjemniać wolne chwile dla studentów. Sławne były za

jego czasów amatorskie przedstawienia i piękne dekoracye i przybory teatralne. Niestety gruźlica zwolna podcinała wątłe siły tego pobożnego i uczonego Misyonarza. Dla poratowania zdrowia wyjechał do południowej Francyi i niedługo potem umarł w Jezierzanach 15 stycznia 1902 r. Małe Seminaryum i całe Zgromadzenia utraciło w nim Misyonarza wysoce uczonego, pełnego cnót i zalet ducha i serca. Przez czas choroby ś. p. X. Wdowickiego zastępował go w urzędzie dyrektora X. Walenty Ciopalski do r. 1901, od września zaś tego roku do 1902 był dyrektorem X. Stanisław Włodarczyk, wreszcie od września 1902 r. bezpośrednią pieczę nad Małem Seminaryum sprawuje X. superyor W. Ciopalski, a wspierał go w tym urzędzie X. Emanuel Brom a obecnie X. Jan Osadnik.

Chcąc dać całkowity obraz Małego Seminaryum, należałoby przedstawić jego dalszy rozwój w następnych latach, gdy jego wychowankowie przechodzili po czterech lub pięciu latach nauki do Seminaryum internum, czyli nowicyatu misyonarskiego, gdzie znowu po 2 latach próby składali śluby zakonne i dalej kończyli swe studya gimnazyalne w domu, jako klerycy-studenci do VIII. klasy włącznie. Zaniechaliśmy jednak tego z tej przyczyny, że nasi wychowankowie przez wstąpienie do nowicyatu a zwłaszcza przez złożenie świętych ślubów stają się członkami Zgromadzenia i mają wtedy osobnych dyrektorów i prefektów studyów.

Od września 1902 roku zaszła większa zmiana. Uchwalono bowiem, żeby nasze niższe gimnazyum Małego Seminaryum do IV. klasy włącznie było na Nowej Wsi Narodowej, następnie uczniowie przechodzą nie jak dawniej do nowicyatu, lecz mogą dalej kontynuować swe studya w czterech wyższych klasach gimnazyalnych na Kleparzu, po ukończeniu zaś VIII. klasy przechodzą do seminaryum internum i rozpoczynają swe studya filozoficzne i teologiczne na Stradomiu.

Tym sposobem od roku uczniowie VI. klasy na Kleparzu należą do Wyższego Małego Seminaryum i mają swego osobnego dyrektora i prefekta studyów w osobie X. Sylwestra Binka, bratanka ś. p. pierwszego dyrektora. Na Nowej

Wsi Narodowej profesorami są sami nasi księża Misyonarze, na Kleparzu zaś obok naszych księży uczą profesorowie świeccy gimnazyalni.

W przyjmowaniu do Małego Seminaryum zaszła od roku 1891 i ta jeszcze doniosła zmiana, iż przyjmują zgłaszających się kandydatów co drugi rok, aby odrazu módz większą liczbę uczniów przyjąć i nie rozdrabniać sił profesorskich na osobne klasy, w których z biegiem czasu niekiedy zbyt mała liczba się utrzymała.

Nie mamy zamiaru w tem krótkiem sprawozdaniu objąć studya i profesorów Małego Seminaryum, lecz na tem miejscu osobliwa wdzięczność im się należy. Z początku uczyli w Małem Seminaryum prawie sami księża konfratrzy, później w miarę powstawania nowych klas i rozszerzaniu się szkoły, nasze siły misyonarskie już nie wystarczały. Poczęto zatem zapraszać do pomocy w uczeniu młodzieży już to kapłanów, wygnańców z Królestwa Polskiego lub z Księstwa Poznańskiego, już też wyręczano się świeckimi profesorami, którzy z miasta do nas dochodzili. Trudno o historyi nauk w tym nader krótkim zarysie pisać. Wystarczy wspomnieć na razie niektóre nazwiska profesorów znanych ogółowi z nauki i zacności charakteru, n. p. X. Dr. Warmiński, X. Tadeusz Chromecki, rektor Pijarów, X. Soswiński, X. Walenty Roesler, X. Wawrzynowski, X. Fleischer, X. Wojciechowski; ze świeckich profesorów: Dr Lud. German, Dr Gustawicz, Gąsiorowski Wilhelm, Zaleski Mieczysław, Maryniak, Kulczyński, Dr Witkowski, Dr Koneczny, Dr Krotoski, Dr Kranz, Stylo, Marcin Sas i tylu innych. I obecnym profesorom, którzy aktualnie jeszcze uczą w wyższych klasach Małego Seminaryum należy się serdeczna podzięka, a są między nimi, którzy od kilkunastu lat z całem poświęceniem oddają się pracy nad wykształceniem naszej młodzieży, jak n. p. prof. Jan Dziurzyński. Cześć im za to i wdzięczność, iż starają się Małe Seminaryum utrzymać na wysokości obecnego stanu nauk i wiedzy.

Na zakończenie tego zarysu historycznego Małego Seminaryum podajemy sumaryczny wykaz osób, dzieł oraz prac, jakie Bogu podobało się zdziałać przez wychowanków tej szkoły apostolskiej.

Liczba uczniów do Małego Seminaryum przyjętych przez 25 lat, wynosiła ogółem 408 osób. Obecny stan osób, które kształciły się w Małem Seminaryum, tak się przedstawia: na kapłanów przez 25 lat wyświęciło się 66, teologów II-go roku jest 18 na Stradomiu, z wyższych klas gimnazyalnych uczniowie przebywają na Kleparzu; uczniów w VI. klasie jest 11, tyluż w klasie VIII, razem 22.

Uczniowie z niższych klas gimnazyalnych przebywają na Nowej Wsi Narodowej, oprócz klasy II. i IV. jest i kurs przygotowawczy do I. gimnazyalnej klasy, razem około 60 studentów.

Od początku Małego Seminaryum do obecnej chwili było nowych kursów 19. Do kapłaństwa przeciętnie dochodzi 20% czyli $^1/_5$ wychowanków. Z owych zaś 80% uczniów, którzy występują z Małego Seminaryum, przeważnie dla braku powołania do stanu kapłańskiego, nie giną dla społeczeństwa, lecz po większej części dla niego pożytecznie pracują w różnych zawodach, np. jako profesorowie szkół wyższych, lekarze, adwokaci lub redaktorzy. Dodać tu można, że wielka część młodzieży naszej pochodziła ze Śląska Pruskiego i niektórzy z byłych wychowanków Małego Seminaryum pracują obecnie na Śląsku w redakcyach dzienników polskich; niektórzy założyli księgarnie albo zasilili szeregi tamtejszego duchowieństwa.

1) Stopnie akademickie w Rzymie lub w Krakowie, to jest doktorat, otrzymało 5, licencyat 2 misyonarzy — z nich 1 wystąpił X. Misicki Tomasz i 1 umarł X. Wdowicki, doktor filozofii, a nadto 3 ma skończony uniwersytet. Egzamin dojrzałości przez te lata składało z pomyślnym wynikiem 30. Obecnie kształci się w Rzymie 2 kapłanów na wyższych studyach teologicznych w naszym międzynarodowym domu, na uniwersytet w Krakowie uczęszcza obecnie 4 kapłanów i 4 kleryków teologów.

2) Co się tyczy prac i dzieł, które dzięki zwiększonej liczbie Misyonarzy można było przedsięwziąść, tak się w krótkości przedstawiają.

Najpierw pomnożyły się domy w prowincyi krakowskiej. Z początku były tylko 3 domy: 2 w Krakowie i 1 we Lwowie. Zaledwie poczęli się wyświęcać na kapłanów uczniowie Małego Seminaryum od roku 1887, zaraz utworzono nowy dom w Jezierzanach 1890. Rok 1894 pomnożył liczbę domów o 2 nowe w Sokołówce i w Nowej Wsi Narodowej; cztery lata później objęli nasi parafią w Nowym Witkowie 1898 r., w następnym roku 1899 osiedlili się we lwowskiem Małem Seminaryum archidyecezyalnem, w rok później 1900 widzimy powstający nowy dom w Sarnkach ad Bursztyn. Pod koniec zeszłego roku 1902 objęto parafię w Kaczyce na Bukowinie, wreszcie w maju bieżącego roku 1903 powierzono nam parafię w Białym Kamieniu, a niedługo potem wyruszyła pierwsza wyprawa polskich Misyonarzy za Ocean Atlantycki i osiedlili się w Paranie w Brazylii.

Tak więc w ciągu kilkunastu lat ostatnich powstało 9 nowych domów misyonarskich w prowincyi polskiej, razem więc jest ich 12.

3) Praca misyjna nad ludem, uważana zawsze przez św. Wincentego i naszych ojców za dzieło pierwszorzędne, zakwitło w całej pełni od czasu, gdy wychowankowie Małego Seminaryum zasilili szeregi przerzedzone starszych konfratrów. Od powstania prowincyi polskiej przez 24 lata, to jest od 1867 — 1891 odprawili starsi Misyonarze 32 misyj, od roku zaś 1891 — 1903, to jest przez 12 lat, w którym to czasie brali udział młodsi misyonarze, wyszli ze szkoły apostolskiej, odprawiono przeszło 350 misyj i exkursyj apostolskich, podczas których wyspowiadało się 550.000 osób. Prócz tego zimową porą dawano w Krakowie na Kleparzu rekolekcye ludowe, przez ostatnich lat 15 było tych seryj rekolektantów 99; wyspowiadało się przeszło 50.000 pątników, przeważnie z całego życia. Podobne rekolekcye dawano co rok w Krakowie na Kazimierzu i we Lwowie u św. Kazimierza, nie li-

cząc częstych rekolekcyj do Dzieci Maryi lub Pań Miłosierdzia. Nadto często dawano rekolekcye ubogim, więźniom, szkołom niższym i gimnazyom, zakonnikom i zakonnicom i kapłanom świeckim, a zwłaszcza Siostrom Miłosierdzia kilkanaście razy rocznie.

Praca misyjna nie ogranicza się li tylko na Galicyę. Misyonarze nasi przebiegając dyecezye galicyjskie, idą raz po raz na Ślązk austryacki i Śląsk pruski, docierają i do Księstwa Poznańskiego i Prus Zachodnich.

Z końcem zeszłego roku rozpoczęli na dobre pracę misyjną na Bukowinie, gdzie w języku polskim i niemieckim słowo Boże opowiadają.

Ostatnimi czasy nawet w Paryżu i Londynie usty polskiego misyonarza głoszono słowo Boże dla tamtejszych kolonij i rozbitków polskich. Co więcej, Bóg tak dobry się dla nas okazał, iż pozwolił rozszerzyć się nam poza granice Europy i właśnie w tym czasie ewangelicznych mężów apostolskich, byłych wychowanków Małego Seminaryum, przebiegają obszary Brazylii i pracują wśród licznych kolonistów polskich i tubylców brazylijskich.

4) Dodać należy, iż w roku 1888 wyjechało 2 kleryków polskich na Wschód do Macedonii, aby kształcić młodzież bułgarską w naszych zakładach i grunt pod katolicyzm przygotowywać. Jeden z nich, Antoni Musielak, 1890 r. przypłacił swe poświęcenie śmiercią chwalebną, sterany pracą prędko legł na obczyźnie, jako dobry żołnierz, na swym posterunku i dobry syn św. Wincentego.

5) Prócz tego nasi konfratrzy pomagają w wychowywaniu kleru świeckiego przez dawanie rekolekcyi księżom i ordynandom przed święceniami i pełnili obowiązki dyrektorów w 2 seminaryach dyecezyalnych, obecnie mają duchowną pieczę nad 1 seminaryum.

6) Wychowankowie Małego Seminaryum zawiadują obecnie 4 parafiami, uczą po licznych szkołach parafialnych i we Lwowie i w Krakowie i w 1 gimnazyum. Nasi Misyonarze mają pieczę duchowną nad 2 więzieniami we Lwowie, obsługują prócz

2 głównych powszechnych szpitali liczne jeszcze szpitale prywatne i zakłady dobroczynne. Obsługują zakłady Sióstr Miłosierdzia i zawiadują dziełami przy nich zaprowadzonemi.

7) Przez ten czas zbudowano dwa kościoły, a trzeci rozpoczęto i wystawiono po wsiach 4 kaplice.

To wszystko przed Bogiem rozważając, poczuwamy się do szczególnej wdzięczności ku Niemu i dla tego naszego maluczkiego Zgromadzenia, które nas tak miłościwie do siebie przygarnęło i wychowało.

Serce nasze tem większą przejmuje się wdzięcznością na wspomnienie, że kiedy nasze Zgromadzenie Misyi zostało jakoby wykorzenione w Królestwie Polskiem, na Litwie i w Prusach, to tutaj, w ziemi krakowskiej i na Rusi tak się rozwinęło w krótkim czasie pod opieką Najśw. Maryi Panny i św. Wincentego, iż wszystkie inne prowincye ze zdumieniem na to patrzą i uznają w tem rękę Opatrzności Bożej.

Jeszcze niedawno przed 25-ciu laty ta ukochana matka Zgromadzenia w Polsce, jako ziarnko gorczyczne, w Krakowie ukryte, cichy żywot prowadziła, a teraz po 25 latach patrząc na swe prędkie rozkrzewienie, może wołać do Boga z wdzięcznością: „Któż mi tych urodził? Ja opuszczona i sama niedawno, a ci kędy byli“? (Izaj. 49, 71). *A Domino factum est istud: et est mirabile in oculis nostris.* (Ps. 117, 23). „Od Pana się to stało: a jest dziwno w oczach naszych“. My zaś choćbyśmy z pomocą Bożą jeszcze więcej zdziałać mogli, wedle nauki Pana Jezusa, mówić mamy: „Słudzy nieużyteczni jesteśmy, cośmy byli winni uczynić, uczyniliśmy“ (Św. Łuk. 17, 10). *Servi inutiles sumus, quod debuimus facere, fecimus.* „Nie nam, Panie, nie nam, ale Imieniowi Twemu daj chwałę“ (Ps. 113). „Samemu Bogu cześć i chwała“. *Soli Deo honor et gloria* (Tym. I., 17).

MISYE W GALICYI WSCHODNIEJ

ODPRAWIONE W ROKU 1902.

Myślałem, że mi się trzeba będzie pożegnać z Szanowną Redakcyą i z łaskawymi czytelnikami „Roczników“, że jakieś młodsze pióro opisze nasze misye i całą działalność XX. Misyonarzy w Galicyi wschodniej, gdy jednak dotąd żaden z młodszych mych konfratrów tego nie uczynił, spełniam więc życzenie Szanownej Redakcyi, biórę pióro zardzewiałe już do ręki i dzielę się wiadomościami z misyj odprawionych w r. 1902, raz dlatego, aby zachować tradycyę naszą spisywania misyj, a drugi raz, aby poprosić łaskawych czytelników, by wraz z nami podziękowali Panu Bogu za wszystko, co przez nas nędzne narzędzia uczynił dla chwały swojej i dla zbawienia bliźnich. *Magnificat anima mea Dominum.*

Touste.

W dekanacie trembowelskim za Tarnopolem leży wioska Touste i tu posłał nas Pan Bóg, abyśmy pierwszą misyę w tym roku odprawili. Wioska dosyć wielka, chaty wszędzie schludne, lud tu zamożny, bo przy każdej chacie widzimy po kilka stert zboża. Plebania nowa, obszerna, kościół dosyć wielki, na zewnątrz co dopiero odrestaurowany, wewnątrz jednak stary i czarny. Od lat kilku pasterzuje tu X. Filip Chorzemski, a pomaga mu w pracy dzielny wikary X. Józef Kuczyński. Dnia 1 marca wybrałem się z X. Zygmuntem Truszkowskim na tę misyę, a jechaliśmy ze strachem, gdyż z powodu wielkich zasp śniegowych kolej, która nas wiozła

z Tarnopola do Grzymałowa, ciągle utykała, od czasu do czasu wagon się trząsł, a my w nim; zwykle po takich wstrząśnieniach kolej stawała, następywała rewizya, czy co złego się nie stało, aż późno wieczorem dostaliśmy się do Grzymałowa, zkąd końmi dojechaliśmy w nocy do Toustego. Nazajutrz wprowadzono nas w procesyi do kościoła; po *Veni Creator* przedstawił nas ksiądz proboszcz swym parafianom, którzy bardzo licznie się zebrali i odtąd przez całe 8 dni pracowaliśmy w tym kościele. Przez obydwie serye wyspowiadaliśmy 2150 osób, a do bractwa trzeźwości zapisało się 1900 osób. W pracy pomagali nam dzielnie obydwaj księża miejscowi: X. Martynowicz z Krasnego i X. proboszcz ruski Czaczkowski. Praca szła tu ciężko, bo lud zaniedbany, ale wiernie i statecznie przywiązany do swego kościoła i swego obrządku. Bardzo się ucieszyłem, widząc ludzi starych, czytać i pisać nie znających, a jednak umiejących na pamięć „Godzinki“ do Najśw. Panny i całe „Gorzkie żale“. Przez cały czas misyi garnął się ten ludek do kościoła, uważnie nas słuchał i wiele wdzięczności za pracę okazywał; rzucano nam się do nóg, suknie nam całowano, że trudno się było wydostać z kościoła do plebanii.

Dnia 10 marca poświęciłem krzyż misyjny i jeszcze tego samego dnia żegnani bardzo serdecznie przez duchowieństwo i poczciwy lud odjechaliśmy do domu w Sarnkach.

Rohatyn.

Dnia 15-go marca zaczęliśmy już pracę misyjną w Rohatynie. Nie będę tu opisywał ani miejscowości ani kościoła w Rohatynie, gdyż rok temu pracowaliśmy już w tej parafii i wszystko opisałem w jednym numerze „Roczników“ z roku 1901. I w tym roku szła tu praca rączo; lud chętnie się garnął do Sakramentu Pokuty św. Okazały i obszerny kościół podczas sumy i podczas nieszporów zawsze był napchany, a presbiteryum wielkie zawsze napełnione inteligencyą miejscową i z okolicy. Dnia 19 marca w dzień św. Józefa urządziliśmy wspólną Komunię św., do której przystą-

piło 1200 osób. Tego samego dnia, pożegnawszy proboszcza tutejszego X. Przedżymirskiego, gorliwego o chwałę Bożą i dbałego bardzo o czystość swego kościoła — odwiedziliśmy nasze Siostry a następnie pojechali do Bursztyna, aby pomódz tutejszemu księdzu proboszczowi w słuchaniu spowiedzi wielkanocnej.

Konkolniki.

Najprzewielebniejszy ksiądz Arcybiskup wyznaczył nam dekanat konkolnicki za pole naszej pracy w roku 1902. Zaczęliśmy więc od parafii Konkolniki. Wioska nie wielka ale bardzo uroczo położona a należąca do dóbr stołowych Arcybiskupstwa lwowskiego. Szczególny ten kościół wybudowany na nasypie wygląda raczej na zamek w stylu barokowym, lub na obronną twierdzę, aniżeli na kościół. Mury rzadkiej grubości, wewnątrz cały ankrowany i bardzo czysto utrzymany, a przytem akustyczny, więc bardzo łatwo się w nim mówi. Misyonarzy przybyło trzech, księża: Truszkowski, Domaradzki i niżej podpisany. Misya trwała od 29 kwietnia do 4 maja. Ksiądz dziekan Franciszek Gąsiorowski przedstawił nas ludowi i zachęcił aby z misyi skorzystali — lud chętnie poszedł za głosem swego duszpasterza i szczelnie kościół zapełnił przez cały czas misyi. Praca szła tu bardzo przyjemnie, bo lud rozumny, a nadto czysto po polsku mówi, więc nie było obawy, czy nas zrozumie. Na brak pracy nie mogliśmy narzekać, bo konfesyonały aż trzeszczały, ale i spowiedników mieliśmy pod dostatkiem, bo zjechali się księża z całego dekanatu. Przez cały czas misyi wyspowiadało się 2393 osób a przeszło 2000 zapisało się do św. trzeźwości. Trzeba przyznać, że tak ksiądz Gąsiorowski jak i jego wikary X. Jan Dziuban pracują gorliwie w parafii, a ślady tej pracy nader widoczne. Cała parafia składa się z dawnej szlachty polskiej — dziś majątkowo podupadli tylko im dawna buta została; gniewają się n. p. bardzo, gdyby głosząc którego zapowiedzi przedślubne, kapłan opuścił „szlachetnie urodzony“. I tu jak zwykle na zakończenie

misyi poświęciliśmy krzyż misyjny, a odśpiewawszy *Te Deum laudamus*, pojechaliśmy dalej aby tego jeszcze samego dnia zacząć nową misyę w Bołszowcach.

Bołszowce.

Znanem jest to miasteczko ze swych głośnych jarmarków — a jeszcze więcej ze swego odpustu Matki Bożej Skaplerznej, na który przychodzą pątnicy z dalekich stron Galicyi, Bukowiny i Węgier, a których liczba dochodzi niekiedy 50.000 ludzi. Parafia powierzoną została Ojcom Karmelitom. Z wielką radością jechaliśmy na tę misyę, bo nas tam ciągła Matka Boża cudowna a także z poczciwości znany zacny Przeor Ojców Karmelitów X. Jan Haber.

Zrazu zdawało nam się, że tam nie będzie co do roboty, bo wielka część parafii tej brała udział w misyi w Konkolnikach a druga część uczestniczyła w misyi, którą przed rokiem w Sarnkach odprawiliśmy — tymczasem stało się inaczej: ludu mnogo się stawiło, więc było nad czem pracować. Wśród bicia dzwonów, w procesyi wprowadzili nas Ojcowie Karmelici do kościoła — uklękliśmy przed wielkim ołtarzem, na którym mnóstwo światła płonęło — odsłoniono obraz Matki Bożej cudownej, ukoronowany z nakazu Ojca św. Klemensa XIII w r. 1777 koroną złotą. — Po krótkiej modlitwie powstał Ojciec Przeor i przemówił do nas Misyonarzy tak rzewnie i serdecznie, oddając nas w opiekę cudownej Matki Bożej, że lud głośno płakał, a i nasze oczy zwilżone były, że Bóg dozwolił nam pracować w kościele u stóp Swej Matki Niepokalanej. Opiekę tę Najświętszej Panienki czuliśmy nader widocznie — bo nie pamiętam czy gdzie na misyi pracowałem wśród takiej pociechy duszy, jak właśnie tutaj. Kościół tutejszy wielki i w czystości utrzymywany, w stylu właściwym zakonowi Ojców Karmelu taki, jaki widziałem w Krakowie, we Lwowie, w Trembowli, które Ojcowie Karmelici budowali. Od dnia 4 do 10 maja wyspowiadaliśmy przy pomocy kilku Ojców Karmelitów i kilku kapłanów ze sąsiedztwa 2098 osób a do św. trzeźwości zapisało się 1900.

Przy kościele tutejszym znajduje się klasztor obszerny, zamieszkiwany kiedyś przez kilkudziesięciu zakonników — dziś zamieszkuje cały ten gmach trzech Ojców. Na zakończenie misyi postawiliśmy krzyż misyjny i żegnani serdecznie przez Ojców Karmelitów i przez cały lud zebrany — pojechaliśmy na dalszą pracę.

Zawałów.

Dziwnym jest Bóg w rozporządzeniach swoich, musieliśmy tak zawołać, przyjechawszy do Zawałowa na misyę. Bo ledwieśmy przyjechali na plebanię aż tu jeden z parafian, który koło kościoła wykończał krzyż misyjny, zobaczywszy nas wziął moździeż i przez nikogo nie proszony, chciał wystrzelić, by dać znak, że księża Misyonarze przyjechali. Moździeż pękł i tak strasznie biedakowi głowę pokaleczył, że X. Domaradzki musiał go na śmierć zaopatrzyć. Pod wrażeniem takiego nieszczęścia zaczynaliśmy misyę w Zawałowie, która trwała wszystkiego cztery dni od 10 do 14 maja. Zawałów jest wioską w cudownej okolicy, przed kilku laty był jeszcze stacyą klimatyczną, gdzie dużo gości zjeżdżało. Kościół na górze nowy i niewielki staraniem śp. prałata księdza Kierszki zbudowany. Expozytem jest ksiądz Jakób Gumułka, kapłan pobożny i przez sąsiadów bardzo ceniony i lubiany. Na misyę zjechało się kilku księży i przy ich pomocy wyspowiadaliśmy koło 1000 osób a 600 przyjęliśmy do bractwa św. trzeźwości. Po poświęceniu krzyża misyjnego, przemówił jeszcze o wytrwałości X. Truszkowski a następnie podziękowawszy Panu Bogu za wszystko, pojechaliśmy na krótki wypoczynek do domu.

Bursztyn.

Już dawno obiecałem misyę w Bursztynie X. proboszczowi Stasińskiemu, a ponieważ Sarnki, gdzie mamy nasz kościół i dom, leżą w parafii bursztyńskiej, więc też mem pragnieniem było misyę w parafii tej, jak najlepiej urządzić, aby nietylko ztąd była chwała Boża, ale też aby się odwdzię-

czyć naszemu proboszczowi w Bursztynie za tyle serca, które nam okazał i ciągle okazuje. Tymczasem fatalnie się wszystko złożyło — ja bowiem byłem zmuszony wyjechać, jako socyusz Najprzewielebniejszego X. Arcybiskupa Webera na wizytacye kanoniczne, — tak że tylko na tę misyę pojechali księża Truszkowski i Domaradzki, a na dobitek sam ksiądz proboszcz Stasiński zachorował i przez cały czas misyi leżał. Przyjemnie się jednak pracowało Misyonarzom w tutejszym kościele. Kościół po Trynitarzach nie wielki, ale nadzwyczaj miły — sklepienia i ściany ozdobione freskami, które się bardzo dobrze utrzymują — posadzka kolorowa steingutowa, zawsze czysta, jak lustro, wszystko to osobista zasługa księdza proboszcza, któremu gustu i gorliwości o dom Boży prawdziwie pozazdrościć można. Księżom Misyonarzom pomagali w pracy liczni sąsiedzi a wszyscy budowali się pobożnością ludu a zwłaszcza mazurów z Ludwikówki, którzy od rana do wieczora przebywali w kościele. Wyspowiadano 1600 osób a 900 przystąpiło do św. trzeźwości. Dnia 25 maja zakończono misyę, poczem księża Misyonarze wrócili do Sarnek.

Podhajce.

Myślałem, że na Bursztynie skończą się misye wiosenne, tymczasem ksiądz proboszcz podhajecki, ksiądz kanonik Trębicki, prosił o misyę w swej parafii na koniec czerwca. Czyniąc więc jego prośbie zadosyć, wybraliśmy się na tę misyę dobrawszy sobie, jako czwartego Misyonarza księdza superyora Buchhorna z Jezierzan.

Podhajce dosyć wielkie miasto powiatowe leży daleko od kolei żelaznej, więc dostęp dosyć ma trudny. Czego Podhajcom pozazdrościć można to kościoła — wielka to bazylika w stylu przejściowym o szczególnej wieży nie wiem jakiego a właściwie bez żadnego stylu. Wiele zasług koło tego kościoła ma śp. ksiądz Prałat Kierszka, który tu kilka lat był duszpasterzem a i obecny ksiądz kanonik wielkie już położył zasługi. Kościół wielki, ale też i liczba parafian

wielka, bo przeszło 8000 dusz. Jeżeliśmy się kiedy napracowali na misyach — to pewnie do tego musimy zaliczyć misyę podhajecką, gdzie przez dziesięć dni wyspowiadaliśmy 5300 osób, do bractwa trzeźwości przystąpiło około 4000 osób. Dzielnie w pracy pomagali nam wszyscy trzej księża miejscowi i kilku z okolicy. Także kilka exkursyj urządziliśmy podczas misyi. Jednego dnia pojechałem do czysto niemieckiej wsi Bekersdorf; podczas drogi prosi mnie ksiądz kanonik, aby słowo Boże po niemiecku im powiedzieć, zgodziłem się na to. Przyjeżdżamy do kościółka, a tu szwaby śpiewają różaniec po polsku, lecz strasznie z niemiecka wymawiają. Ksiądz kanonik odprawił sumę a ja po sumie wyprowadziłem wszystkich Niemców z kościoła wstąpiłem na prowizoryczną ambonę i pytam się ich, jak mówić kazanie: czy po polsku, czy po niemiecku? Na to wszyscy Niemcy krzyczą: „Prosimy mówcie po polsku, bo my wszystko po polsku rozumieć“, powiedziałem więc po polsku.

Potem zaprosili nas na obiad — ciekawy to był ten obiad niemiecki (nasamprzód podano barszcz, potem buraki, następnie mięso, potem rosół, kapustę, pieczeń — i tak bez końca, a co kilka minut przynosił najstarszy z Niemców na tacy szklankę piwa, a podając mi piwo, mówi: „Panie Misyonarz, zróbcie mi honor“; wypiłem coś trzy szklanki, a tu stary znów nalega, aby mu honor zrobić, więc powiadam: „Słuchajcie Niemcy, honor wam robić będę, ale pić już nie będę“, i dano mi spokój). Drugiego dnia popołudniu zrobiłem znów z X. kanonikiem wycieczkę do Gniłowód, jechaliśmy dobrymi końmi blizko dwie godziny, Polaków tu koło 500 dusz, ale daleką drogą odcięci od kościoła, zaledwie wiedzieli, że w Podhajcach się misya odprawia. Zajechaliśmy do cerkwi, bo tu kościółka niema. X. kanonik bierze za jeden dzwon, ja za drugi i dzwonimy na alarm, kilku wystraszonych sąsiadów przyleciało, pytają się, czy się gdzie pali, powiadam: otwierajcie cerkiew, bo misya przyjechała; nim cerkiew otworzono i nim ludzie się zebrali, już późna godzina, a tu deszcz leje jak z cebra. X. kanonik odśpiewał li-

tanię do Matki Bożej, a ja powiedziałem naukę i zachęciłem, aby na misyę poszli, i rzeczywiście coś 60 osób przyszło nazajutrz do Podhajec. X. Domaradzki zrobił znów innego dnia wycieczkę do Białokiernicy. W całej parafii dobry to ludek, ale parafia za rozległa dla 3 księży — budowaliśmy się podczas misyi inteligencyą tutejszą, która czynny i żywy udział brała w misyi tak panie, jak i panowie. Dnia 30-go czerwca poświęciliśmy z wielką uroczystością krzyż misyjny i tak zakończyliśmy misyę w Podhajcach. Pożegnawszy wszystkich, odwiedziliśmy nasze Siostry, które pracują tu w szpitalu powszechnym, a potem rozjechaliśmy się do domów swoich.

Markowa.

Prawdziwie za górami i lasami leży wieś Markowa i tu nas Pan Bóg wezwał, abyśmy duszom krwią Jego Najświętszą odkupionym przepowiadali św. Ewangelią. Mała parafijka bo coś koło 900 dusz tylko licząca, to też 4 dni wystarczyły, abyśmy zadosyć uczynić mogli wszystkim potrzebom dusz do tej parafii należących. Misyę tę odprawiliśmy od 5—9 lipca; lud to poczciwy, ale bardzo biedny. Kościół tu mają tak ubożuchny, jak nigdzie dotąd nie widziałem; po prostu z desek zbity. Szczęściem dla nas, że nam pogoda sprzyjała i całe nabożeństwo odprawialiśmy koło kościoła. Proboszcz także stary, mały, wyschły, tylko skóra i kości, a siwiutki jak gołąbek, ale jednak się gniewa, gdy go kto starym nazywa i zaraz żartobliwie się pyta: „A ty skąd wiesz, że ja stary“? Wyspowiadaliśmy razem Polaków i Rusinów do 1100 osób, a z tego połowa zapisała się do bractwa św. trzeźwości. Jak zwykle na zakończenie poświęciliśmy krzyż misyjny i tą misyą zakończyliśmy szereg misyj wiosennych.

Toustobaby.

Nowa parafia, bo coś dopiero dziesięć lat, jak w Toustobabach wybudowano kościół; tu też po raz pierwszy odprawiać mieliśmy misyą. Kościół dosyć obszerny i stylowy

o dwóch wieżach, a pasterzuje tu od samego początku X. Jan Golczewski, pobożny kapłan i ogólnie lubiany. Misyę zaczęliśmy 25 września przy ogromnym udziale wiernych. Praca szła lekko, bo naród dobrze przygotowany do misyi, a nadto dla kościoła chętny, kapłana swego bardzo słuchają, to też każde jego życzenie akuratnie wykonują. Kapłanów sąsiadów zjechało się dużo i przy ich pomocy wyspowiadało się przez 5 dni misyi 1300 osób, a prawie wszyscy się do bractwa św. trzeźwości zapisali. Poświęciliśmy krzyż misyjny. Żegnani przez dobrego duszpasterza i przez jego dobrych parafian, pojechaliśmy, aby jeszcze 29 września na nieszporach zacząć misyę w Horożance.

Horożanka.

Niedaleko od Toustobab leży wieś Horożanka. Kościół na wzgórzu wzniesiony, mały i stary, plebania zaś daleko od kościoła w dolinie. Miejscowy ksiądz proboszcz, Antoni Rokosz, człowiek chorowity, wyszedł z procesyą na spotkanie nasze i przyjął nas bardzo serdecznie. Lud tu zastaliśmy dobry i pobożny, znać wszędzie pracę duszpasterza — dwory także bardzo religijne, nietylko służbę posyłały na misye, ale i sami państwo przykładem świecili. Misya trwała tu do 4 października, przez cały czas lał deszcz niemiłosiernie, podziwialiśmy więc ten lud, jak w deszczu szedł z prawdziwem poświęceniem nawet z dalszych wiosek, aby tylko słuchać nauk misyjnych, a następnie aby się spowiadać szczerze, z grzechów swoich. Ponieważ kościół mały, a zewnątrz deszcz lał, więc w kościele natłok wielki i zaduch, że trudno było wytrzymać. Męczyliśmy się, jak tylko można było. Do wspólnej Komunii św. przez obydwie serye przystąpiło 1900 osób; do bractwa św. trzeźwości prawie wszyscy się zapisali. Szkoda żeśmy tu nie mieli pogody, bo daleko więcej dałoby się zrobić. Jednak za wszystko Bogu podziękowawszy, poświęciliśmy krzyż misyjny i pojechaliśmy na ostatnią misyę w dekanacie konkolnickim, a mianowicie do Hnilcza.

Hnilcze.

Z wielką ciekawością jechaliśmy do Hnilcza, bo wiele różnych rzeczy słyszeliśmy o mieszkańcach tej wioski. Kościół zastaliśmy nowy i ładny, znów to zasługa ś. p. X. prałata Kierszki, za którego staraniem kilka kościołów we lwowskiej archidyecezyi stanęło, ale w kościele pustki jeszcze, nawet wielki ołtarz nieskończony. Dnia 4-go października zaczęliśmy św. misyę. Ludu coś niewiele się zebrało; czekamy jednak cierpliwie — dopiero tak w połowie sumy zaczęli napełniać kościół. Trzeba im było prawdę powiedzieć; obiecali, że się więcej na nabożeństwo spaźniać nie będą, a podczas misyi obietnicy swej dotrzymali, — jak potem, tego nie wiem. Naród tu ciemny, przytem niesłychanie zarozumiały, wszystko potomkowie szlachty, każdemu się zdaje, że jest, Bóg wie, czem. Trudne ma zadanie tutejszy X. ekspozyt Ferdynand Stec, aby z tego ludu zrobić poczciwych parafian. W ciągu misyi wyspowiadało się do 1200 osób i prawie wszyscy przystali do bractwa św. trzeźwości. Zakończyliśmy jak zwykle; poświęciwszy krzyż misyjny, żegnani przez lud, który w końcu misyi bardzo się już rozruszał, pojechaliśmy dalej.

Firlejów.

Kto nie zna stosunków obrządkowych w Galicyi wschodniej, temu trudno uwierzyć, jak ciężką i trudną jest praca parafialna dla duszpasterzy. Parafia rozległa, wsie oddalone od kościoła parafialnego po kilka mil. Żeby jeszcze przynajmniej Polaków w takich wioskach oddalonych dużo było; ale gdzie tam, po kilka rozbitków znajdziesz, których Rusini czy nie umieli czy nie chcieli do swej owczarni zagarnąć. Do takich to parafij należy i parafia Firlejowska, do której należy 12 wiosek, a niektóre z nich po przeszło 2 mile odległe. Całe szczęście dla tej parafii, że ma X. proboszcza człowieka młodego, zdrowego i gorliwego, który nie żałuje swego zdrowia i swej chudoby, ale co niedziela i święto wyjeżdża wczas rano na wsie z całem nabożeństwem i wraca

jeszcze do kościoła parafialnego ze sumą i kazaniem, a popołudniu odprawiwszy u siebie nieszpory jedzie znów w inną stronę swej parafii na exkursye. Ale przyznać trzeba, że to tylko obecny ksiądz proboszcz Adam Małaczyński potrafii, który żadnemi trudnościami się nie zraża. Kościół Firlejowski należy do najstarszych w archidyecezyi i jak najlepiej utrzymanych, tak zewnątrz jak i wewnątrz. W kształcie krzyża zbudowany, ołtarze gustowne i czysto utrzymane. Wielką pomoc ma zacny ksiądz proboszcz od kolatorów kościoła JWielmożnych Państwa Franciszka i Wandy Biesiadeckich, którzy nie szczędzą i grosza i fatygi, świadczą ciągle dobrodziejstwa dla swego kościoła, a do najmilszych rzeczy zaliczają sobie ubieranie ołtarzy i przyozdabianie tychże. Daj Boże więcej takich zacnych kolatorów. Misya trwała od 11 października do 16 grudnia. Ludzie mimo wielkiej odległości od kościoła, chętnie brali udział w misyi, to też przy pomocy księży miejscowego proboszcza, ks. Bauera i ks. Dziekana Zagorzyńskiego wyspowiadaliśmy przeszło 1000 osób, z czego 600 zapisało się do św. trzeźwości. Zakończywszy tę misyę pojechaliśmy, każdy do domów swoich, dziękując P. Bogu, że nas liche narzędzia wybrał do roznoszenia chwały Swojej, dziękując także i Matce Najświętszej, pod której opieką te prace ciężkie i niebezpieczne odprawialiśmy, a jeśliśmy co dobrego zrobili, to także tylko zawdzięczamy naszemu dobremu Ojcu św. Wincentemu, który nam łaski potrzebne wypraszał u stóp Tronu Najwyższego.

X. Stanisław Tyczka
n. k. z. m.

PARANA.

Thomas-Coelho, 18 sierpnia 1903.

Łaska Pana naszego Jezusa Chrystusa niech zawsze będzie z nami.

Kochany Księże Konfratrze!

Otóż nareszcie po długiej bardzo tułaczce stanęliśmy u celu naszej drogi. Wyznaczono nam na razie kolonię Thomas-Coelho.

Nim jednak cośkolwiek napiszę o nowej naszej siedzibie, o ludziach, wśród których żyjemy i całem naszem otoczeniu, zwrócić się jeszcze muszę do podróży, na której ostatni mój list urwałem.

Dnia 12 czerwca zbliżaliśmy się do Afryki, kiedy wspomniany list oddałem na pocztę, by go nazajutrz zabrał z sobą jeden z okrętów wracających z Ameryki do Europy.

W dniu tym panował niezwykły ruch na okręcie, bo wielu pasażerów, wśród nich najwięcej żołnierzy, kilku oficerów i innych oficyalistów, wysiąść miało w mieście Dakar, w francuskiej posiadłości w Senegambii. Żal nam było żegnać tych wesołych towarzyszy podróży, z nimi ubyło połowy życia na okręcie, śpiewy i tańce ustały prawie zupełnie.

Nazajutrz rano 13 czerwca odczuliśmy po przebudzeniu się niezwykłe gorąco, to najlepszy znak, że ląd już bardzo blisko. Powychodzili wszyscy na pokład, by patrzeć rychło się zarysuje wybrzeże afrykańskie.

Zobaczyć Afrykę, ojczyznę lwa i strasznego goryla, zobaczyć ten czarny, tak mało jeszcze zbadany kontynent, być blisko Sahary, chodzić po rozpalonym piasku w Sudanie, być w końcu wśród samych tylko murzynów — to chyba coś takiego, co należeć będzie do najprzyjemniejszych wspomnień z całej podróży.

Tymczasem stawało się morze coraz spokojniejsze, fale były już tak lekkie, że powierzchnia stała się jak na jeziorach alpejskich gładką i nieporuszoną, w dali tylko przewracały się ogromne ludojady — było ich tyle, że się od nich morze zaroiło i wzburzyło. Nigdy ani przedtem ani potem nie widzieliśmy ich tyle razem.

O godzinie 9 spostrzegłem wybrzeże, to pierwszy ląd Afryki; niebawem wychyliły się skaliste i strome półwyspy Senegambii, a na na nich całe szeregi drzew, wśród których już zdaleka rozpoznaliśmy drzewo chlebowe tak zwane baobab. Inny całkiem świat mieliśmy przed sobą. O godzinie 10 przybyliśmy do portu, wokoło którego rozłożyło się malownicze miasto Dakar, liczące 15000 mieszkańców, siedziba władz i urzędów francuskich na cały Sudan, Senegambię i Dahome.

Jeszcze okręt nie zarzucił kotwicy, a już płynie ku nam 7 łodzi murzyńskich, w mgnieniu oka są przy nas. Prawdziwa niespodzianka! W każdej łodzi siedzi do siedmiu jak węgiel czarnych młodych murzynów — całkiem nadzy z wyjątkiem wąskiej tylko przepaski na biodrach. Dziarskie i kształtne to chłopaki. Jeden po drugim rzucają się do wody — zniknęli w morzu wszyscy — długo nie widać nikogo, zdaje się, że przepadli na zawsze. Po chwili wynurzają się z głębi, a śmiejąc się, proszą, by im wrzucić pieniądze do morza. Rzucają im je panowie i panie, po które na wyścigi jeden po drugim skacze na głowę do morza. Tam na dole wre walka, u góry szumi się woda — szczęśliwy zdobywca z tryumfem wypływa na powierzchnię, trzymając pieniądz odzyskany we falach oceanu.

Rzucamy im także kilka sous, a gdy zabrakło drobnej monety francuskiej, rzuciłem im pięć fenigów. Z daleka wy-

glądają one jak 50 centymów, to też kilkunastu daje odrazu nurka, słychać tylko plusk i widać jak znikają pod wodą. Szczęśliwy zdobywca uradowany trzyma bogaty łup, ale gdy tylko spostrzegł pomyłkę, zachmurzony groził palcem i wołał: *e! pas bon mon pére!* — to nie dobra moneta mój ojcze! Śmialiśmy się do rozpuku, a za to rozgniewany murzyn utopił 5 fenigów w morzu.

Wszyscy prawie murzyni w Dakarze mówią po francusku, bo pozostają w ciągłem zetknięciu się z Francuzami; w ogóle posiadają wielką łatwość do obcych języków, mówią biegle językiem francuskim i podobno jak rodowici francuzi wymawiają.

Ich język ojczysty, to odrębny dyalekt, mięszanina języka rodzinnego i arabskiego.

Jest też wśród nich najwięcej muzułmanów, około 3000 nawróconych na katolicyzm. Są to podobno bardzo gorliwi katolicy, liczba ich wzrasta z każdym niemal dniem, reszta żyje w pogaństwie.

Na okręt przyniósł jeden z murzynów fotografie i karty z widokami Dakaru — był to muzułmanin, człowiek poważny i mało mówiący. Gdy go pytałem, dlaczego wyznaje islam, odpowiedział po krótkim namyśle: a ty mój ojcze, czemu jesteś chrześcijaninem?

Na okręcie nieznośne gorąco; ale o tem nikt nie myślał, chcieliśmy tylko jak najprędzej dostać się na ląd. Okręt miał odjechać dopiero późnym wieczorem, czasu zatem dość wiele, by zobaczyć miasto i murzynów.

Jedziemy tedy w łodzi murzyńskiej wraz dwoma innymi towarzyszami podróży. Pogoda prześliczna, nie było ani jednej chmury na niebie a wokoło morze również spokojne i pogodne. Płyniemy wesoło, pełni humoru, jak bohaterzy, czujemy, że to wyprawa nielada, że Afryka tuż przed nami.

Gorąco było na okręcie, ale na lądzie upał poprostu nie do zniesienia, słońce tak niemiłosiernie pali prostopadle nad głową, że wahamy się pójść dalej; pod nogami piasek rozpalony. A przecież to nad samem morzem, które łagodzi

gorący klimat — dalej w ląd słońce wszystko wypala, tam tylko lotny, gorący piasek a nad nim rozpalone niebo.

Oprowadza nas po mieście murzyn 20-letni, chłopak smukły, wesoły z fajeczką w ustach, która widocznie jest nieodstępną jego towarzyszką. Miasta nieznamy, nie wiemy co tam ciekawego, od X. Grzegdali tyle tylko wiedziałem, że mieszkają tu jacyś księża zakonnicy. Każę mu tedy prowadzić nas do nich.

Po drodze podziwiamy wspaniałe w pełnym kwiecie rozłożyste drzewa, coś z rodzaju naszych akacyi, inne stoją nagie, bez liści, ale za to zwieszają się na nich na pół metra długie strączki. Swiat zupełnie inny; pod nogami czerwony lotny piasek, niebo szare, flora odmienna, wokoło murzyni i murzynki. To jacyś dobrzy ludzie, sympatyczni, choć czarni, bawiło ich to widocznie, że tak ciekawie się im przytrujemy. Tutejszy szczep murzyński bardzo ładny; mężczyźni rośli, silnie zbudowani, odważni, a przytem bardzo spokojni.

Zbliża się ku nam murzynka, pochwaliła Boga a na znak, że jest rzeczywiście chrześcijanką, przeżegnała się i pokazała nam pozawieszane na szyi różańce, które stanowiły pewien rodzaj ozdoby.

Murzynki wogóle lubują się bardzo w różnego rodzaju błyskotkach, na szyi mają całe rzędy różnokolorowych pereł szklanych. W mieście są wszyscy przyzwoicie ubrani, — tu kobiety i dziewczęta stroją się w najrozmaitszy sposób. Spotkaliśmy murzynkę, która miała na sobie suknię zupełnie taką jak komża prześlicznej i misternej roboty.

Murzyni widocznie bardzo ciekawi — kilku pytało nas czy jesteśmy fréres czy péres, braćmi czy księżmi, bo tu w Dakarze są bracia szkół chrześcijańskich i księża z kongregacyi Ducha św.; wypytywali skąd jesteśmy i po co do Ameryki jedziemy.

Stanęliśmy nasamprzód w domu Braci szkół chrześcijańskich, mają u siebie szkołę, gdzie oczywiście na pierwszym planie jest język francuski. Nie odwrócili mimo tego od siebie strasznego ciosu, bo i oni mieli wkrótce opuścić

tę szkołę. Bądź co bądź krzycząca to niesprawiedliwość, nigdy nie odczułem jej tak głęboko, ani przewrotności rządu francuskiego, wydalającego księży, jak tu, gdzie naocznie widziałem kwitnącą szkołę, której bezinteresownie poświęca siły kilku ludzi, co wyrzekli się ojczyzny i tu pod gorącem niebem afrykańskiem na ciężką walkę i trudy są wystawieni.

Przełożony tego zgromadzenia, człowiek bardzo sympatyczny i poważny zaprowadził nas do księży Asocyacyi Ducha św., którzy tuż obok nich mieszkają. Zostaliśmy w domu kilku miłych bardzo księży tego samego prawie wieku co my. Przyjęli nas gościnnie, ucieszyli się, że my Polacy, bo Polak tyle, co biedny Bretończyk, któremu wydzierają język i religię, a oni wszyscy byli Bretonami, stąd tak wielka dla nas sympatya. W zgromadzeniu mają także kilku Polaków.

Wytchnęliśmy tu sobie doskonale, bo byliśmy spoceni do suchej nitki. Zwiedziliśmy także ogród i kościół.

W ogrodzie ich rośnie kilka rodzajów palm o jadalnych owocach; pełne, okrągłe jak jabłka, drugie jak melony, inne zwieszały się jak olbrzymie ogórki z drzew. Wszystkich gatunków skosztować nam dali, najbardziej zachwalali owoc papaio, ale niech Bóg broni przed podobnymi delikatesami, to coś tak mdłego i nieprzyjemnego, że sam widok podobnych owoców w Brazylii wyprowadzał mnie jeszcze z równowagi. Wszystkie te owoce dałbym za jedną kwaśną płonkę, co u nas w lesie rośnie. Rosną tu także kwiaty europejskie: astry, róże, werweny — jarzyna, jak fasola, marchew, sałata, kapusta, tak przyjemnie patrzeć na to, bo przypomina Europę. Przy domu gołębnik, na dachu pełno gołębi, którym w krzaku ukryty kot zdradziecko się przypatruje. W ogrodzie, na grzędach, po murze, pełno obrzydliwych jaszczurek wielkości ręki, kameleony tak pospolite, jak żaby u nas. Nie widzieliśmy tu żadnych owadów ani motyli, widocznie zjadają je owe jaszczurki i kameleony.

Kościół wewnątrz przepiękny, ołtarze obrazy i figury artystycznie wykonane, porządek wzorowy, doprawdy nie spodziewaliśmy się tak czysto utrzymanego kościoła zobaczyć

w Afryce. Resztę miasta pokazali nam poczciwi ci księża. Domy urzędników francuskich bardzo ładne, wille w europejskim guście, sklepy duże a i domy murzyńskie w samem mieście ładne i starannie zbudowane tak jak porządne chaty u nas po wsiach. Wszystkie roboty murarskie wykonują murzyni, ponieważ są bardzo zręczni i pracowici. Przed domem wysiadywały murzynki z dziećmi, które do pewnych lat zupełnie nago biegają. Jedno z tych dzieci na widok nas białych ludzi z płaczem tuli się do matki jak u nas płakałyby dzieci na widok murzyna.

Na samym końcu miasta tuż nad morzem znajduje się szpital wojskowy, który obsługują siostry św. Józefa. Widząc że zgrzani i zmęczeni jesteśmy, przyniosły nam kilka butelek piwa własnego wyrobu i talerz lodu. Sam widok tego piwa a zwłaszcza lodu w gorącej Afryce zdawał się nas pokrzepiać. Łakomo sięgnął każdy po szklankę, ale drugiej nie przyjął nikt, bo napój ów mógł być wszystkiem tylko nie piwem, czyli inaczej było to piwo krom piwa!

Siostry wspomniane mają jeszcze w innem miejscu ochronę i dom sierót — są to dzieci bardzo grzeczne i taktowne, śmiałe, ale wszystko w granicach. W ogrodzie znajduje się grota Matki Boskiej z Lourdes, zbudowana na podziękowanie Matce Najśw. za szczęśliwą opiekę podczas żółtej febry, która nawiedziła Dakar przed dwoma laty. Wymarli prawie wszyscy Europejczycy, z Sióstr nie umarła żadna. Po godzinie 5-tej wracaliśmy do okrętu. Na słońcu wygrzewała się karawana z pustyni Sahary — byli to prawdopodobnie Beduini, ludzie dobrze zbudowani i o ogromnych czuprynach. Spotkaliśmy także pogrzeb muzułmański; nieboszczyk okryty białym całunem, za nim postępowała garstka znajomych w głębokiem skupieniu.

Już się słońce miało ku zachodowi, gdy płynęliśmy na tej samej łodzi ku okrętowi. Ugodziliśmy się już przedtem o cenę jazdy, franka od każdej osoby. Tymczasem żądano po 2 franki od każdego i to jeszcze, by natychmiast zapłacić. Wzbraniamy się oczywiście, obiecujemy w końcu płacić

po 2 franki, ale przy okręcie, ale murzyni się nie zgadzają, stanęli w połowie drogi, oświadczając, że prędzej nie pojadą dalej, dopóki im wszystkiego nie zapłacimy. Staliśmy z 5 minut — nie było innej rady tylko zapłacić, by odjechać do okrętu.

Obok naszej Amazonki stał w pewnej odległości okręt Magelan, który po południu wrócił z Brazylii i także tego wieczora jeszcze odjechać miał do Europy.

Na okręcie naszym ładowano jeszcze węgle, wszystko zakurzone i zabrudzone; z całej jazdy, stawanie w portach, wyładowanie towarów, a zwłaszcza ładowanie węgla najbardziej męczy i drażni.

Tymczasem zapadała zwolna noc. — Całe stado jastrzębi czy jakichś innych drapieżnych ptaków goniło za żerem, unosząc się nad morzem — dwa okręty wojenne, stojące w zatoce zajaśniały w świetle elektrycznem, na łodzi jeden z murzynów rzucał się na ziemię zwrócony ku zachodowi, drugi wykonywał jakiś taniec religijny, nucąc przytem żałosną piosenkę.

Zmęczeni upałem dnia i po tylu wrażeniach zasnęliśmy wkrótce, choć nie ukończono jeszcze roboty na okręcie.

Nazajutrz w niedzielę wśród oktawy Bożego Ciała byliśmy znowu na pełnem morzu, najbliższy port, w którym stanąć mieliśmy, to Rio de Janeiro w Brazylii. Na okręcie było jeszcze tak gorąco, że z trudem tylko zdołaliśmy odprawić Mszę św., tak byliśmy spoceni, jak w parówce.

Okręt zaczął się na dobre kołysać, fale się piętrzyły morze głośno szumiało, bałwany huczały, ale dzień był pogodny i słoneczny. (Niektórzy z pasażerów pochorowali się). Wokoło znowu nic innego jak tylko woda, od czasu do czasu pokazała się mewa, ale znikła zaraz, w dali pluskały się olbrzymie delfiny a tuż obok okrętu unosiły się nad wodą całe stada latających ryb tak zwane jaskółki morskie. Ryby te doprawdy bardzo podobne do jaskółek, latających nad wodą, pletwy robią wrażenie skrzydeł, a ryby wyglądają jak ptaki. Widok ten bardzo przyjemny i łudzący.

Myśli nasze biegły ku Europie, u nas na Kleparzu procesya, u św. Floryana ludzi całe tysiące, a my coraz więcej oddalamy się od Krakowa, coraz bliżej nowej ziemi, choć jeszcze 2700 mil morskich dzieli nas od Rio de Janeiro. Dnie są coraz krótsze, słońce zachodzi o pół do siódmej a kwadrans po zachodzie już zupełnie ciemno. Sam zachód nie robi wielkiego wrażenia — słońce zniża się coraz więcej ku morzu, staje się czasem krwiste i prędko znika za oceanem. Niebo za to ubiera się w najrozmaitsze kolory, jak u nas przed wielką burzą, ale krótko tylko, bo zaraz zapada ciemna noc. Ale noc na morzu wspaniała! Gwiazdy tak wielkie i wyraźne na niebie, i te, które z trudnością tylko dojrzeć można u nas w kraju, tu tak się przedstawiają, że oko się niemi nasycić nie może, ale za to gwiazda polarna idzie coraz niżej, niedługo, a zniknie nam zupełnie.

Droga staje się coraz cięższą, zdawało się, że choroba morska już się nas nie chwyci, a tymczasem czekały nas jeszcze ciężkie dnie. Im bliżej bowiem równika, tem silniejszy zrywał się wicher, powietrze stało się wilgotne a fale coraz większe! Okręt kołysał się wzdłuż i wszerz, zdawało się, że się przechyli i my razem z nim znikniemy w głębiach oceanu. Wicher stawał się chwilami tak gwałtowny, że wrzucał całe fale na pokład okrętu, a okręt przecież tak wysoki jak kamienica dwupiętrowa.

Z małym wyjątkiem pochorowali się wszyscy, wielu nie chodziło wcale do refektarza, inni w połowie wychodzili prędko. Życie stało się nieznośne — choroba morska nie jest wprawdzie śmiertelna, ale nad wszelki wyraz nieprzyjemna, nigdzie miejsca znaleźć sobie nie można, wstręt do jedzenia, ciągłe mdłości, wszystko drażni, wszystko do womitów pobudza. Zachorował nasamprzód X. Bayer, ale krótko tylko, mnie się najwięcej dostało, zdawało mi się chwilami, że już chyba do Rio de Janeiro nie dojadę. Stosunkowo miał się najlepiej brat Aleksander, prócz krótkiego zawrotu głowy nic więcej nie ucierpiał.

Noc każda okropna! Okienko od kajuty szczelnie było

zamknięte, bo fale zalewały je co chwila, zaduch nieznośny, niepodobna zasnąć, w nocy każde gwałtowniejsze wstrząśnienie budzi człowieka, do tego okropne sny, spowodowane ciągłem kołysaniem się okrętu, wymęczą do reszty. Dzień również przykry, chodzić było trudno po pokładzie, bo wicher chce porwać, więc siedzi się bezczynnie od rana do wieczora, para wodna osiada na twarzy i całem ubraniu, zamienia się w sól, którą co chwila strzepywać trzeba.

W środę 17 czerwca byliśmy na równiku, dzień to był z wszystkich najgorszy, najwięcej wtenczas ucierpiałem, to też mało co obchodziło mnie, że przyjeżdżam na półkulę południową i nowy świat się dla nas zaczyna.

We czwartek rano przejechał obok nas mały statek na znak powitania wywijaliśmy kapeluszami, witaliśmy się wzajemnie jak najlepsi znajomi. Widok tego okrętu i ludzi sprawił mi nieopisaną radość, już kilka dni nie widziałem nic innego jak tylko wodę wokoło, jak tylko to burzliwe morze.

Od piątku uspokoił się ocean, dnie były pogodne, prawie wszyscy byli już zdrowi, zaczęły się na nowo śpiewy, wielu porządkowało pakunki, bo już w niedzielę wieczorem miał okręt przybić do portu Rio de Janeiro.

Już zatem nie długo a staniemy na ziemi amerykańskiej, do której płyniemy już kilka tygodni.

Pod wieczór w niedzielę ujrzeliśmy pierwszy ląd, był to łańcuch skalistych gór nadbrzeżnych a w miarę jak się ściemniało, widzieliśmy w dali migocące światło latarni morskiej, które niknęło na długi czas i znowu się wychylało. W nocy o $^{1}/_{2}$ 2 zarzucił okręt kotwicę w porcie. Pobiegłem do okna, — osłupiałem z podziwu. — W około całe szeregi różnokolorowych latarni, robi to wrażenie czarującej iluminacyi, — noc prześliczna, tak cicha i spokojna, jak miasto Rio de Janeiro, pogrążone w głębokim śnie, — księżyc oświecał miasto, rozrzucone u stóp pagórków, które je wieńcem okalają. Wczas rano powychodziliśmy na pokład, miasto cudowne leżało przed nami. Cały szereg gór, to nagich szczytów skalistych, to porosłych lasami i gajami a na ich

stokach wille i domy, sięgające kędy tylko oko dojrzeć potrafi. Na morze wychylają się śliczne wysepki, na nich pobudowane porty, wille, pałace, pyszne ogrody, z których sterczą olbrzymie palmy, w porcie las masztów, — pełno okrętów, małych parowców i żaglowców. Słusznie zaliczają Rio de Janeiro do najpiękniejszych miast na świecie, jestto niewątpliwie najpiękniejszy port, — bo ma położenie cudowne, trudno wyobrazić sobie coś piękniejszego i więcej uroczego.

Zlatują się mewy — nad morzem krążą jakieś ptaki drapieżne, — rybacy w małych łodziach wypłynęli na morze i co chwila wydobywają, jak srebro w wschodzącem słońcu połyskujące ryby — na okręcie zaczyna się ruch, przyjeżdżają ku nam małe parowce, w nich pełno ludzi, witających krewnych i znajomych, wracających z Europy. Brazylianie mają odrębny sposób witania się, stają naprzeciw, podają sobie następnie dłonie i klepią się wzajemnie po ramieniu, — im ktoś droższy, tem dłużej i silniej klepie się go po ramieniu, a jeżeli to poufały przyjaciel, wówczas klepanie zamienia się w bębnienie na jego grzbiecie.

Jakoś dziwnie smutno się zrobiło na sercu, wszystkich witają, my sami, — do brzegu daleko, pełno mamy bagaży i kufrów, wszystko będzie najdokładniej przeszukane a tu niema się nawet kogo poradzić.

Gdy staliśmy tak bezradni, zjawia się nagle przed nami ksiądz i przedstawia się, jako konfrater nasz. Był to X. Benjamin Fréchet, superyor domu „Santa Casa da Misericordia“ w Rio de Janeiro, misyonarz, który wraz z X. Azémar wzdłuż i wszerz przejechał na misyach rozległy stan Minas Geraes, a potem pierwszym był superyorem przy biskupiem seminaryum w Kurytybie. Nie pisaliśmy nawet do konfratrów, że przyjeżdżamy, — a poczciwy X. Fréchet, dowiedziawszy się z Paryża, że polscy konfratrzy na francuskim okręcie „Amazonka“ do Ameryki się wybierają, już kilka dni niecierpliwie nas wyglądał. Nieraz już podziwialiśmy dobroć, uprzejmość i gościnność naszych konfratrów, ale ten nowy, niespodziewany do-

wód uprzedzającej grzeczności chwycił nas w szczególniejszy sposób za serce. Przyprowadził także służącego ze sobą.

Z księdzem Fréchet śmiało i bezpiecznie jechaliśmy w małej łodzi ku wybrzeżu; tuż obok nas igrał sobie ogromny delfin; w około okręty stały na kotwicach, raz po raz wychyliła się na morzu łódź rybacka a my coraz bliżej Ameryki, naszej nowej siedziby.

Wreszcie stanęliśmy na lądzie stałym, — za nami tysiące mil, rozległe morze za niem Europa i nasza Polska, — już tylko kilka mil drogi, a staniemy u celu naszego.

Przykre wrażenie zrobiła w pierwszej chwili ziemia amerykańska — wokoło twarze czarne, to murzyni i mulaci ludzie brudni i obszarpani, w dodatku jeden z obdartych tych ludzi wołał na nas na cały głos po brazylijsku: pocoście tu przyjechali, my już wszyscy ochrzczeni, -- Brazylia to republika! Złowrogo to brzmiało mi w uszach — może to nie dobra wróżba.

Wreszcze miasto stawało się coraz przyjemniejsze, domy i ulice w guście europejskim, olbrzymie palmy na drodze i w ogrodach, to osobne, to znowu całe aleje tworzą. Dzień był pogodny i słońce dobrze przygrzewało.

Miasto Rio de Janeiro rozsiadło się u podnóża gór, które okalają morze, stąd jest nierówne i bardzo rozrzucone, liczy ono przeszło 500.000 mieszkańców. Do konfratrów jechaliśmy tramwajem całą prawie godzinę; trafiliśmy na obiad.

Dom ich znajduje się w ślicznem położeniu, — jedzie tylko tędy tramwaj, zresztą nie ma prawie żadnego ruchu — tuż obok 3 ogromne góry, nad któremi krążą brazylijskie kruki.

Księża nasi mieszkają tu prywatnie, w domu jest tylko oratoryum, zajęci wyłącznie tylko pracą w domach siostrzeńskich i szpitalach. Pracy mają tak wiele, że widać ich w domu tylko przy obiedzie i kolacyi. Superyorem jest wiekowy, ale rzeźki jeszcze X. Józef Clavelin.

W ogrodzie konfratrów rosną pomarańcze, cytryny, ba-

nany i inne palmy o owocach jadalnych; w każdym kącie pełno bambusu, który dosięga wysokości dwupiętrowych domów i służy za doskonały opał. Poza ogród prowadzi droga do lasu, położonego na stoku wzgórza. Idzie się zrazu schodami w górę, a potem wspinać się trzeba coraz wyżej i wyżej, zarośla tak gęste, tak powikłane z sobą, że nie podobna się przedostać, a tu i ówdzie strzela wysoko w górę palma królewska, olbrzymiej wysokości. Jest to najokazalsza palma, którą tu widziałem.

Trafiliśmy na sam środek zimy brazylijskiej. W Europie o tym czasie są najgorętsze i najdłuższe dni, w Brazylii był w sam raz dzień najkrótszy a noc najdłuższa.

Już zaraz po godzinie 5 zrobiło się ciemno i zaraz potem, jak na morzu zapada noc a rano dopiero około godz. 7 wschodziło słońce. Ale jaka ta zima brazylijska! Tak jak u nas w najgorętsze dni lata, — przez cały dzień byliśmy spoceni, pragnienia niczem zaspokoić nie można. W południe, gdy się jest w mieście upał okropny, słońce zdaje się mózg wypalić. — Noce chłodne, ale bywają często duszne i zasnąć trudno. Inna tu jeszcze nieznośna plaga, co się zwłaszcza przybyszom daje we znaki. Są to moskity, drobne komary, które w ciągu dnia a przedewszystkiem w nocy niemiłosiernie skłują całą twarz i ręce. Każde takie cięcie obudzi ze ze snu, twarz i ręce wyglądają tak, jak gdyby człowiek trądem był dotknięty.

Brazylianie narzekają pomimo tych upałów na zimno i istotnie wielu z nich zakatarzonych. — Siostry Miłosierdzia w domach gdzie mieszkają sieroty, nie budzą wczas rano najmłodszych dzieci, bo za zimno dla nich a ja tymczasem pociłem się podczas Mszy św., choć było rano i ciemno jeszcze.

Domy Sióstr Miłosierdzia należą w Rio do najpiękniejszych zakładów; dom św. Teresy zbudowany w stylu greckim, nie robi więc wrażenia, że jest wielki, to ogrom po prostu. Kaplica wspaniała, w wielkim ołtarzu Matka Najśw. od cudownego Medalu, sale, refektarz sypialnie, szwalnia itd. wszystko ogromne — wokoło duży ogród. Przed domem idą

w trzech szeregach palmy królewskie — jest ich przeszło 30. Wychowuje się tu około 200 sierót, — dziewcząt.

Obszerniejszym i daleko jeszcze piękniejszym jest drugi dom, tak zw. kolegium Niepokalanego Poczęcia. Jestto pensyonat dla panienek z miasta i okolicy. Kościół to cacko a dom tak obszerny, że łatwo by tu zbłądzić można, a wszystko urządzone z komfortem, wszystko eleganckie. Samych fortepianów jest 25. Wierzyć się nie chce, że to dom Sióstr Miłosierdzia, że to Brazylia. Prócz pensyonatu wychowują się tu jeszcze sieroty i to przeszło 100 dziewcząt białych i 50 czarnych, jedne od drugich oddzielnie. Ogród bardzo wielki, większy niż przy zakładzie Helclów w Krakowie, utrzymany najstaranniej, w cudownem do tego położeniu u stóp najwyższego szczytu, co sterczy nad całem miastem, tak zwany szczyt cukrowy. W ogrodzie artystycznie zrobiona grota Matki Boskiej z Lourdes, — taka zupełnie, jak na cudownem miejscu.

Jest jeszcze w Rio jeden dom, który nas uderzył ogromem swoim — szpital miejski tak zwany „Santa Casa da Misericordia". Mieści on 1600 chorych. Szpital ten obsługują Siostry Miłosierdzia, jest ich tam przeszło 60 — wśród nich jedna jest Polka z prowincyi Chełmińskiej. Na dzień umiera w tym szpitalu do 15 chorych. — Tak mi tu żywo stanął szpital św. Łazarza przed oczyma! — W samym szpitalu porządek wzorowy, sale obszerne kurytarze ogromne, służby sporo, bo cały personal składa się z 200 osób, ale poza murami straszne niechlujstwo. Prześcieradła i brudną bieliznę po zmarłych rozciągają po prostu na ulicy — fetor nieznośny a widok jeszcze nieprzyjemniejszy. Na bieliźnie tej siadają moskity, już nie tysiące i miliony, ale całe miliardy! — Jak miasto na coś podobnego zezwolić może, jak to znoszą mieszkańcy, to prawdziwa zagadka, — tem więcej, że w to już nikt nie wątpi, że moskity roznoszą żółtą febrę, najstraszniejszą plagę Rio de Janeiro.

Konfratrzy, obsługujący szpital ten, mieszkają tuż obok ale bardzo wysoko, bo do ich domu prowadzi przeszło 100 stopni. Stąd rozkoszny widok na cały port, morze i na całą

panoramę miasta. Konfratrzy widzą doskonale każdy okręt, przychodzący i odjeżdżający do Europy. Spotkaliśmy tu biskupa z Maranham, pod samym równikiem, który prosił o konfratrów do swego seminaryum.

Tydzień prawie czekaliśmy na okręt, idący do Paranagua, to też przypatrzyliśmy się dobrze miastu, mieszkańcom jego i tamtejszym zwyczajom.

Miasto robi z początku dobre wrażenie, przedstawia się dobrze i zdaje się, że to przesadzają ci wszyscy, którzy je opisują, jako brudne i pełne nieporządku. Kilka tylko ulic szerokich, ładnych, utrzymanych w porządku, zresztą wszędzie pełno tylko brudu i niechlujstwa. Są dzielnice tak brudne, zwłaszcza blisko morza, fetor tak okropny, że głowa boli. Nic dziwnego, że Rio de Janeiro jest siedzibą żółtej febry. Gości ona tu stale i dzień w dzień porywa ofiary. Grozi przedewszystkiem Europejczykom. Zdarzyło się to już nieraz, że chwytała się tych, którzy ledwo na ląd wysiedli. Podobno z początku, gdy Siostry Miłosierdzia objęły szpital, — wymarły wszystkie na żółtą febrę w przeciągu jednego roku. Jeden z księży opowiadał mi, że konfratrzy, którzy w Rio umarli, padli wyłącznie ofiarą żółtej febry — ostatni Wizytator uległ jej także. — Wiedząc o tem wszystkiem, mieliśmy dosyć strachu, ale jakoś P. Bóg czuwał nad nami.

Już wspomniałem, że w Rio jest wielu czarnych, stanowią oni mniejszość. Wyglądają okropnie, zwłaszcza stare kobiety, tak zupełnie, jak czarownice. Prócz nich pełno tu Portugalczyków, Hiszpanów, Włochów, trochę Francuzów, Niemców i Polaków, wielu także Chińczyków. W jednej z sal szpitala spotkałem chorych wszystkich tych narodowości.

Brazylianie widocznie pobożni, uprzejmi dla duchownych, całują po rękach, jadąc tramwajem zdejmują kapelusz przed każdym kościołem. Szczególniejsze mają zamiłowanie w strzelaniu i w puszczaniu rakiet. Raz po raz przez cały dzień słychać wystrzały, chłopcy po ulicy rzucają bomby a huk taki, jak z armaty, nikt się temu nie dziwi, nikt tego nie zakazuje· Tak rozzuchwaleni, że rzucają owe bomby koniom pod nogi,

koń staje dęba, woźnica tylko biczem pogrozi i znowu jedzie spokojnie dalej. — Rakiety puszczają także w dzień — najwięcej ich puszczano w wigilię św. Jana Chrzciciela.

Przy stole mają Brazylianie odrębne zwyczaje. Śniadanie się je o godzinie 10; obiad o czwartej popołudniu. Talerzy nie zmieniają, wszystkie potrawy stawiają odrazu na stole i wszystko kładą na jednym i tymsamym talerzu i mieszają. — Jest zatem jedno i drugie mięso, na ten sam talerz przychodzi ryż biały, na ryż czarna fasola, na fasolę kapusta a na kapustę ziemniaki, wszystko to razem zmieszane i farinką (mąką) manijoku posypane stanowi ulubione jedzenie Brazylianów. Mnie się zawsze słabo robiło! Konfratrzy w Rio i Kurytybie przyjęli ten zwyczaj także i widziałem, że im to bardzo smakowało. Po obiedzie zawsze czarna kawa, taki jest zwyczaj w całej Brazylii.

Konfratrzy nasi na rekreacyi, wyłącznie prawie posługują się językiem portugalskim, mówią, że im łatwiej jest wyrażać się po portugalsku niż po francusku.

W sobotę 27 czerwca o godz. 3 wsiedliśmy na okręt brazylijski „Jtaipava". Był to mały okręt w porównaniu do Amazonki. Nadto rzadko kiedy jest morze spokojne między Rio de Janeiro, i portem Paranagua. Wiele morza już przejechaliśmy i zdawało nam się, że też i tym razem szczęśliwie odjedziemy do Paranagua, zwłaszcza, że już w poniedziałek zrana mieliśmy stanąć u celu — a tymczasem ciężka czekała nas przeprawa.

Zajmowała nas obecnie ta jedna tylko myśl, co nas też czeka w Paranie, gdzie biskup nas wyśle, a im bliżej byliśmy celu, tem bardziej nas to niepokoiło. Wokoło nas na okręcie ludzie obcy, wyjąwszy jednego Niemca, wszyscy byli Brazylianami — tak nam się przynajmniej zdawało. Tymczasem zagaduje nas podczas kolacyi nasz sąsiad, elegancki panicz, po polsku, gdzie jedziemy, czy nie przypadkiem do Kurytyby. Dowiadujemy się, że to konsul austryacki, pan Bertoni z Kurytyby. To prawdziwa niespodzianka. Dodało nam to spotkanie dużo otuchy, — dowiedzieliśmy się, że już 3 tygodnie ocze-

kują nas w Kurytybie, że pojedziemy na kolonię Thomas-Coelho, że nas niecierpliwie wyglądają polscy koloniści, płaczą z radości, bo już 3 miesiące nie mieli u siebie nabożeństwa. Spodziewaliśmy się, że przyjemnie spędzimy ostatnie godziny naszej podróży morskiej w towarzystwie nader sympatycznego konsula — a stało się inaczej. Skorom tylko zeszedł z pokładu do kajuty, w jednej chwili występują na mnie poty, nogi mi się chwieją, słabo i mdło się robi, z biedą zdołałem się rozebrać. To nowy napad choroby morskiej, tymczasem energiczniej się mnie czepiła. Litują się nademną X. Bajer i X. Chylaszek, ale kilka minut później pochorowali i oni, zachorował także brat — kajuta zamieniła się w salę szpitalną. Jęczeliśmy, to znowu śmialiśmy się, że Amazonka nam rady nie dała, a mała Jtaipava tak groźnie z nami postępuje. Dziękowaliśmy też Bogu, że ostatecznie zdecydowaliśmy się na okręt francuski a nie niemiecki, który prawdopodobnie był tylko tak wielki, jak ta nieszczęsna Jtaipava. Okręt francuski miał siłę 7600 koni, niemiecki tylko 1300. Pochorowali także inni towarzysze podróży, raz po raz odbijały się o uszy nasze ich jęki i wysiłki, co nas jeszcze bardziej usposabiało do womitów.

Na drugi dzień próbuję wstać, taczam się jak pijany, z biedą zawlokłem się na pokład, tam się zaczyna na nowo. Wyjąwszy pierwszej kolacyi, już drugi raz nie byłem w refektarzu. Zachorował także p. Bertoni, blady jak ściana chodził po pokładzie. Nie pytał się wcale, jak się mam i ja go nie pytałem, bośmy jednakowo wyglądali i zrozumieli się nawzajem, narzekał tylko: co to za brzydki okręt i niespokojne morze.

A morze było naprawdę niespokojne. Czas brzydki, niebo zachmurzone, wiatr zimny przejmujący, jak u nas w później jesieni, fale wprawdzie nie piętrzyły się wysoko, jak nad równikiem, ale okręt nie mniej się kołysał. Doczekaliśmy się wreszcie poniedziałku; X. Bajer i X. Chylaszek już zdrowi i pełni otuchy, ja z braciszkiem jęczeliśmy dalej. O wstaniu ani myśli. Mija godzina 9-ta lądu nie widać jeszcze. Dziwię

się, co jest, dlaczego my jeszcze nie w porcie, — odpowiada lokaj, że morze niespokojne, dopiero w południe będziemy w Paranagua. Nie ma innej rady, jak uzbroić się w nową cierpliwość i czekać południa. Wreszcie ląd widać w dali, — z trudem wychodzę na pokład, choć już 2 dni nic zgoła nie jadłem, — znowu powtarza się nowa historya.

Wjeżdżamy już do portu, morze jeszcze burzliwe; płynie obok nas łódź rybacka, porywają ją bałwany, niknie nam zupełnie z oczu i znowu się wychyla. Z jednej i drugiej strony wybrzeże częścią piasczyste, częścią lasami pokryte, gdzieniegdzie nizkie wzgórza a na nich latarnie morskie. Wzdłuż wybrzeża przechadzają się ludzie, dzieci igrają w piasku, widać gdzieniegdzie dachy domów, to znowu jakiś wcale ładny kościółek tuż nad samem wybrzeżem morskiem. Port ładny i okolica urocza, — ale poezya nie popłacała wcale, organizm pragnął wytchnienia a żołądek pokarmu. Sam ląd w Paranagua także nas nie pokrzepił, — rzeczy nasze szły wprost na cło a fetor w około okropny, przyprowadzał do mdłości. Brat cały zielony, ledwo że na nogach biedak się trzymał, a my otwieraliśmy kufry i skrzynie. Uwolniono nas zupełnie od cła, w czem nam pomógł kapelan Sióstr św. Józefa, którego wysłał po nas na okręt poczciwy X. Deschand, superyor z Kurytyby.

Na pociąg do Kurytyby było już za późno, trzeba było nocować w Paranagua. Pomieszczono nas w szpitalu, gdzie spotkaliśmy wiernych Polaków. Stara służąca to Polka i 4 chorych, których odwiedziliśmy zaraz. Tak oni nam byli mili, tak przyjemnie językiem ojczystym pomówić sobie na obczyźnie, — tacy nasi rodacy, bo jeden z nich Antoni Olszewski zaraz się prosił o spowiedź św. dla siebie i żony, która go nazajutrz odwiedzić miała.

Opowiadali nam też wiele o Brazylii. Wspomniany Olszewski pochodzi z gubernii płockiej, mieszkał zrazu w Porto Alegre w stanie Rio grande de Sul a obecnie już 3 lata w pobliskiej kolonii Santa Cruz. Kraju rodzinnego już mu nie żal, bo mu w Ameryce lepiej. O — Jegomość — opo-

wiadał — ja w Europie nigdy tyle mięsa nie jadłem co tutaj; jeszcze jednego wieprza nie zjadłem a już drugi dorasta; karmię je bananami, bo ich pełno mam w ogrodzie. W Europie bieda była, tu mam kilka morgów ziemi, która dobrze rodzi. Od czasu do czasu idzie się w las, to się zawsze coś upoluje, indyka a i sarna się trafi. Las wspólny, drzewa się bierze ile potrzeba, nie ma chyba lepiej już nigdzie, jak tu w Brazylii. Tak go słuchałem, poczciwe chłopisko zrozumiał, że mnie to interesuje, szeroko więc opowiadał o kraju, klimacie i różnych zwyczajach. Dwie córki wydał tu za francuzów, którzy od kolonistów nauczyli się polskiego języka.

Drugi chory to Stanisław Lipiński, rodem z Krakowa. Długie lata był na jednej z kolonii w Santa Catharina, — pracował także przy kolei, gdzie nogę złamał, dziś jest kaleką i z biedą na kawałek chleba zarobi. W Paranagua jest posługaczem, w jakimś hotelu. Żal się robi biedaka, do kraju już nie wróci a zresztą — powiada — słyszałem, że w Krakowie okropna nędza, to by nie było i wracać po co. Gdy go pytaliśmy, co go spowodowało do opuszczenia kraju, — opowiadał nam, że czytał wiele o cytrynach i pomarańczach w Brazylii, o palmach i ptakach i taka go porwała ciekawość, że przyjechał tu dotąd a pomarańcz i cytryn odrazu mu się odechciało.

Inny chory to dwunastoletni chłopczyk, Rusin z pod Lwowa. Mówi jeszcze po polsku, ale słabo, raz po raz wyrywa mu się słówko portugalskie. Ziemia i klimat brazylijski nie służy biedakowi, chyba nie długie będzie jego życie.

Czuliśmy się już prawie tak, jak wśród swoich, — od Kurytyby oddzielała nas 6 godzinna jazda koleją. Paranagua nie miała żadnego uroku, miasto brudne, ulice okropne, mieszkańcy niesympatyczni. Przyroda tylko nas zajmowała, palmy, całe gaje pomarańczowe i prześliczne ptaki we wszystkich kolorach. Zauważyliśmy tu gatunek szpaków, które się trzymają po pastwiskach w pobliżu koni i krów, siadają gromadnie na ich grzbiecie i głowie. Prawdopodobnie to ich dobroczyńcy, bo zdaje się, że chwytają dokuczliwe owady.

30-go czerwca popołudniu wyjechaliśmy do Kurytyby. Kolej tutejsza przypomina tramwaj elektryczny, ale zresztą wcale wygodna i czysto utrzymana; ma tylko pierwszą i drugą klasę.

Jechaliśmy zrazu przez las, to znowu przez łąkę, z obydwóch stron palmy, przeważnie banany, od czasu do czasu wychyliła się z wilgotnego lasu biedna i nędzna chałupa brazylianina, ale w około drzewa, uginające się pod żółtemi pomarańczami.

Jazda bardzo miła, nie było gorąco — jedziemy wciąż lasem, oko nasycić się nie może widokami, które się przesuwają przed oczami. Ziemia staje się coraz więcej górzystą, znajdujemy się już wśród ogromnych gór, kolej z trudem tylko wspina się coraz wyżej, mosty przyczepiane do stromych skał, pod nogami raz po raz straszna przepaść a wokoło rozległy widok na cały las szczytów coraz wyższych i na dalekie doliny, w których bieleją się domki włoskich kolonistów. Jedziemy przez kilkanaście tuneli, wodospady szumią, woda zrzuca się w śmiałych skokach wprost w przepaść.

Widoki majestatyczne, kolej sama, to arcydzieło nowożytnej techniki; w ciągu całej drogi naszej nie widzieliśmy nic piękniejszego. Od Paranagua do Kurytyby jest kilka stacyj, wszyscy wysiadają by napić się czarnej kawy. Wyskakuje jeden po drugim, biegnie za innymi także p. Wincenty Machado, gubernator Parany, bo taki zwyczaj. Poszedłem i ja z X. Francuzem z włoskiej kolonii Morretes. Kawa wyborna, najczystsza Mokka brazylijska, kto ma ochotę, może kupić sobie pączków i t. d., i to wysoko w górach. Nie przypuszczałem, że w Brazylii takie wygody.

Czas przyjemnie upływał, X. Francuz opowiadał ciekawości o Brazylii i kolonistach swoich, w końcu otworzył antałek spory, w którym wiózł rum do Kurytyby i zaczął nas częstować. Zachwalał go bardzo, ale mimo tego nie potrafił nas przekonać, że to dobre, sam zapach był tak obrzydliwy, że z góry podziękowaliśmy za gościnność.

Zbliżaliśmy się tymczasem coraz bardziej do Kurytyby.

Noc zapadła, zimno się robiło, Brazylianie obwijali się chustami, bo w Brazylii obecnie zima, a nadto leży Parana 1000 metrów ponad poziomem morza. Chłodno było naprawdę, jak u nas w październiku późnym wieczorem.

O wpół do siódmej stanęliśmy w Kurytybie. Na dworcu oczekiwał nas X. Deschand, dyrektor seminaryum z X. Mello, był także p. Bielecki, redaktor Gazety polskiej i jakiś inny jeszcze Polak.

Jechaliśmy długo tramwajem, bo seminaryum jest za miastem a Kurytyba bardzo rozrzucona. I znowu byliśmy u konfratrów i przez cały tydzień nadużywaliśmy ich gościnności i uprzejmości. X. Deschand jest bardzo lubiany w całem mieście; Brazylianie, Polacy wyrażają się o nim zawsze z szacunkiem. Zdaje się, że na to najzupełniej zasługuje. Było nam tu tak dobrze i swobodnie jak na Kleparzu.

Seminaryum, to ogromny gmach, w połowie dopiero ukończony. Seminarzystów tylko około 40, wśród nich coś 9 Polaków, ale nie mają jeszcze osobnego profesora do języka polskiego, choć usilnie się o to stara X. Rektor. Przez wszystkie dni zwiedzaliśmy miasto.

Kurytyba liczy około 30.000 mieszkańców, jestto miasto europejskie. Domy ładne, sklepy urządzone z komfortem, niektóre wille prześliczne. Przed 30 laty była to nędzna mieścina, gubernator boso na mule jeździł, dziś to już wielcy panowie. W Kurytybie pełno Niemców i Polaków, w każdym prawie sklepie zmówić się można po polsku i niemiecku. W sklepach nawet Brazylianów zmówić się można po polsku, bo się od Polaków nauczyli. Na koloniach wielu Brazylianów mówi nieźle po polsku, taksamo i niektórzy Włosi po polsku się nauczyli. Parana liczy przeszło 300.000 mieszkańców, żywioł polski przeważa, bo Polaków jest 80.000, a reszta Niemców, Włochów, których tu także bardzo wielu. W samej Kurytybie jest do 3000 Polaków, na każdej ulicy, przed każdym prawie domem widzi się Polaków. Poznaje się ich odrazu, odbijają od wszystkich, to stanowczo najpiękniejsi ludzie.

Słusznie bardzo pisał profesor p. Siemiradzki, że Parana, to nowa Polska, to samo mówią sami Brazylianie. Przypadkiem wpadła mi w Rio de Janeiro geografia w języku portugalskim, w której Parana również nazwana „nova Polonia“.

Biskupa niema w domu, wizytuje rozrzucone parafie, wraca dopiero pod koniec sierpnia. Na razie przeznaczono nas do kolonii Thomas-Coelho, przeszło 20 kilometrów od miasta odległej. Zwiedzieli się o tem koloniści, — niektórzy przyszli do nas do seminaryum, by wywiedzieć się, kiedy po nas przyjechać mają. Wybraliśmy się w sobotę rano 4 lipca, by już w niedzielę rozpocząć nabożeństwo. Konfratrzy w Kurytybie zaopatrzyli nas w wino mszalne i stołowe.

Pełen otuchy i nadziei, że Bóg nam pobłogosławi w pracy na nowej ziemi, jechaliśmy do Thomas-Coelho. Dzień był piękny, nie gorący, po drodze spotykaliśmy co kilka kroków jakiegoś Polaka, pozdrawiali nas, bo już rozeszła się wieść po całej okolicy, że księża polscy przyjechali. W gajach śpiewały rozmaitego rodzaju ptaszki, nad głowami krążyły od czasu do czasu jastrzębie, których tu bardzo wiele. Ziemia stawała się falistą, a po dwugodzinnej jeździe wychylił się kościółek z trzema wieżami, obok niego mała plebania.

Na powitanie puszczano rakiety, gromadka ludzi zbiegła się, by przypatrzeć się nowym księżom. Już trzy miesiące nie mieli nabożeństwa a tu naraz przyjechało aż trzech księży. „Niech się Jegomoście nie boją — mówili — u nas dzięki Bogu chleba dość“.

Plebania mała, dość zrujnowana, płoty się prawie walą, ale powoli wszystko się odrestauruje. Za to kościół bardzo przyjemny i gustowny na lekkiem wzniesieniu, w kościele czyściutko, ładne ornaty i kapy, ołtarz piękny, balaski i ambona prześlicznej roboty, lichtarze, chorągwie i feretrony jak w porządnych kościołach europejskich.

W pierwszym dniu dziwnie nam się przedstawiała nowa nasza siedziba, wokoło pusto i głucho, bo kilka tylko widać domków i to w znacznej odległości jeden od drugiego.

Za to widok pyszny, ze wszystkich stron pagórki, ziemia tu wogóle bardzo falista, na wzgórzach, uprawna albo lasem pokryta, z którego sterczą wysoko olbrzymie sosny amerykańskie tak zwane piniejry (pinheiro). Trawa zwiędła, pola puste, bo tu zima w całej pełni, ale wszystko zielone, kapusta i kartofle wszędzie po ogródkach rosną. Kolonia nasza ciągnie się wzdłuż na trzy mile, wszędzie po pagórkach i dolinach rozrzucone są bardzo dobrze i ładnie zbudowane domki kolonistów, obok nich stodoła i obora dla bydła, w ogrodzie drzewa pomarańczowe a gdzieniegdzie banany. Do kościoła mają bardzo daleko, ale mimo tego gromadnie przychodzą na nabożeństwo.

Rozeszła się wieść po całej kolonii, że księża już przyjechali i nabożeństwo będzie. Już po godzinie 10 był cały tłum kolonistów przed kościołem, zapomniałem, żem w Brazylii, zdawało mi się, żem gdzieś w Galicyi na misyi. Wszystko jak w Polsce, ci sami poczciwi i pobożni Polacy, takie same zwyczaje, ten sam ubiór, to samo nabożeństwo, te same pieśni w kościele, przed sumą *Haec est dies* i procesya, te same psalmy na nieszporach. Poczciwi, tak serdecznie płakali podczas kazania, gdy im ksiądz przypomniał pierwsze lata, gdy do Brazylii przyjechali i pod gołem niebem mieszkać musieli. bo nie było domku, nie było ziemi uprawnej, ale lasy tylko, które karczować i palić musieli w pocie czoła. Mieli wreszcie już domek i chleb razowy, ale nie było kościółka. nie było kapłana i dopiero wtenczas ogarnęła ich na dobre tęsknota za krajem rodzinnym. Wybudowali w końcu ładny kościół, był tu jeden i drugi i trzeci kapłan, ale raz po raz osieroceni zostali, już trzy miesiące, jak nie sprawowała się tu Najśw. Ofiara i nie udzielano Sakramentów świętych, aż wreszcie Bóg ich prośby wysłuchał i trzech kapłanów im posłał.

Równocześnie odprawiało się nabożeństwo w drugim mniejszym kościółku Matki Boskiej.

Nasi koloniści są prawie wszyscy z pod Jasła i Gorlic; przy drugim kościele jest wielu ze Szląska pruskiego i wogóle

nazywają ich z naszej strony „prusakami“. Zostali i tu w Brazylii poczciwymi i pobożnymi Mazurami, a nowe pokolenie już dorosłe zupełnie do rodziców podobne. Pierwsi przyjechali tu przed 27 laty, mówią tylko po polsku, tak, że na kolonii niepodobna nam się tu będzie nauczyć po portugalsku. Niektóre tylko słowa zaczerpnięte z portugalskiego. Na kukurudzę nie powie nikt inaczej jak tylko milia, na pomarańczę aranzia, na błota banijady, na towarzysza kompaniejr i t. d. Zamiast bardzo mówią wszyscy „barz“. Gdy chcą dobrze wyrazić się o jakimś księdzu, mówią: to barz delikatny ksiądz.

Księdzu daliby wszystko. Już w pierwszy dzień przyniósł nam chłop bochenek chleba, worek ziemniaków i trzy koguty. Na drugi dzień mieliśmy już kilka kur, kilka chlebów, masło, kilkanaście główek kapusty, i tak dzień po dniu znoszą kaszę, ziemniaki, ser, jaja, kury, garnce i garnuszki, bo tu kilku garncarzy, mąkę i t. d. Zabije ktoś w pobliżu wieprza, przyniesie nam całą łopatkę. Już braciszek uwędził nam kilka kilo słoniny, ale jakiś obcy pies wlazł do kuchni i szynkę wyciągnął. Co robić, taką naturę ma pies brazylijski co i polski. Tu z głodu chyba nie pomrzemy.

Kolonia Thomas-Coelho należy do najbogatszych w Paranie. Chłopi mają do 20 morgów przeciętnie, a ponieważ miasto nie daleko, więc wszystko spieniężyć mogą. Urodzaje nienajlepsze, dawniej ziemia bardzo rodziła, teraz już grunta jałowe. Pszenicy nie uprawiają wcale, bo się nienajlepiej rodzi, a zresztą ptaki wszystko zjedzą. Ziarna przechować nie podobna dla rozmaitych owadów, które niszczą zboże i kukurudzę. Najwięcej uprzykrzone są różnego gatunku mrówki, koloniści je nazywają mroczkami. Wszystko zjedzą i poniszczą, ziemniaki, kapustę itd. Zasadziłem sobie kapustę włoską, sałatę i kalafiory, wszystko mroczki zjadły. Koloniści otaczają rozsadę rowem, który wypełniają wodą, to jedyna obrona przed mroczkami.

Bydłu klimat nie sprzyja; ciele jest 4 lata jałówką i to nędzną bardzo. Nadto krowy albo wcale nie dawają mleka, albo bardzo mało. Skoro tylko ciele ssać przestaje, ustaje

krowa i ani kropelki mleka nie da. Znaleźli i na to koloniści radę. Skórę z cielęcia zabitego wypychają słomą, stawiają obok krowy i dopiero wtenczas daje krowa mleko, bo jej się zdaje, że to ciele ssie. Ale za to mają krowy prześliczne i olbrzymie rogi. Najpiękniejsze konie w Paranie mają Polacy, od nich się wszystkiego nauczyli Brazylianie, których tu nazywają Kabukrami. Od pierwszej chwili pokochali Kabukrzy nadzwyczaj Polaków, że to tacy ładni, dobrzy i uczciwi ludzie. Odbijają istotnie od wszystkich, ich pracowitość i pobożność znana w całej Brazylii. Jednę tylko wadę mają, bo lubią się napić, pijaków tu pełno. Wódka nazywa się tu „kasias“.

Kasias tu na nieszczęście bardzo tani, za koronę dostaje się całą garafę, która ma pięć litrów, to też pijaństwo powszechne, upijają się i kobiety. Mówią Włosi tutejsi, że Polacy bardzo dobrzy; rano jedzie mąż ze żoną do miasta i powozi, z powrotem powozić musi żona, bo mąż spity na słomie we wozie leży. Po każdem nabożeństwie pijatyka, chrzciny i wesele to hulanka. Dziwna rzecz, że i w pijaństwie są pobożni. Gdy się trącają kieliszkiem i jeden mówi: na zdrowie kumie! to drugi odpowiada: pijcie z Panem Jezusem. „Kiepsko z nami — mówią sobie teraz — jak to będzie z kasiasem, pić go zakazują; albo trza się pogniewać na kasias, albo dalej pić ale za to chyba nie chodzić do kościoła, a to się przecież nie da“. Jeżeli się wyrzekną wódki, będą to najlepsi i najuczciwsi ludzie.

Przychodzą do nas z dalszych kolonij do spowiedzi św., proszą się na wszystko, by także do nich pojechać. Pojedziemy z pewnością, jak tylko biskup powróci.

Wielki tu był kłopot na kolonii z powodu miejscowego organisty, szczęście to dla nas, że wzięliśmy ze sobą brata Aleksandra, który jest organistą i kucharzem i wszystkiem zarazem.

Tyle ciekawych rzeczy miałbym do opisania, ale już i tak się rozpisałem, zostawię to na drugi raz. Dziś tyle tylko jeszcze, że nasza zima tak jak maj w Europie; rano

chłodno; coś trzy razy był mały szron, w ciągu dnia dochodzi gorąco do 24 stopni.

Lasy nieładne, wilgotne, drzewa ze sobą powikłane, wejść niepodobna. Dawniej były tu małpy, teraz żyją dalej od nas; pełno rozmaitych ptaków, papugi, kolibry, do ogrodu przylatują, śliczne zimorodki, przepiórki, kuropatwy, sarny, pancerniki są na naszym polu, ale trudno je podejść. Żmij wielka moc, tak grube jak ręka, wielu tu już pomarło od nich pokąsanych. Przed kilku laty wyszła gruba żmija z pod podłogi w zakrystyi, inna na podwórko przyszła dusić kury. Jest tu jeden gatunek żmij, co rzuca się na człowieka jak pies, ile obejmie, tyle ciała wyrwie. Pająk jak dłoń powszechny, dusi ptaszki, bardzo jadowity. Żab całe plejady, przeto muzyka najrozmaitsza, są żaby co tak skrzeczą, jak płaczące dziecko. Innych złośliwych gadów, płazów i bestyj po lasach i polach dość. Po pokoju chodzą mi ogromne mrówki, z początku mnie przerażały, teraz spokojnie je tępię, pająkom laską pogrożę, a już uciekają. Tu w Brazylii jeździmy konno, taki powszechny zwyczaj. Nie obyło się bez przygód. Gdy raz z drugiego kościoła wracałem, wyskoczył pies, konia za nogę chwycił, koń przelękniony runął łbem na ziemię, ja na głowę przez konia, ciemno mi się zrobiło w oczach, wiedziałem, że lecę na dół, i koń przezemnie. Szczęście, że się na tem skończyło, zostały się tylko sińce na ramieniu.

Wokoło nas codziennie wielkie ognie, gospodarze palą trawy, krzaki i lasy pod uprawny grunt, popiół zastępuje nawóz. W tej chwili gdy to piszę, widzę z okna na dalekim pagórku ogromny ogień, szeroka łuna rozlała się po całem niebie północnem. Choć tu kraj taki dziwny, choć słońce nam z północy świeci, choć księżyc tu odwrócony i inne zupełnie gwiazdy na niebie, choć tylko jednę dobę drogi koleją i wozem jesteśmy oddaleni od najdzikszego narodu na kuli ziemskiej, od dzikich Botokudów, choć szerokie morze i tysiące mil dzieli nas od ojczyzny, mnie i towarzyszom wciąż się zdaje, że jesteśmy w Galicyi, wśród swoich i pytamy się czy to istotnie Brazylia, czy my naprawdę tak daleko od Krakowa? *X. H. Dylla.*

SPRAWOZDANIE
Z MISYI ODPRAWIONYCH W GALICYI ZACHODNIEJ

przez

XX. MISYONARZY Z KLEPARZA

przedłożone

JMĆ KSIĘDZU JÓZEFOWI KIEDROWSKIEMU

Wizytatorowi prowincyi polskiej.

(Ciąg dalszy).

Najczcigodniejszy Księże Wizytatorze, Dobrodzieju!

Misye u nas toczą się zwartą falangą jedna po drugiej, jak to nieraz i sam X. Wizytator jest świadkiem, widząc nas to odjeżdżających, to powracających; to przy wyjeździe zagrzewając gorącem słowem, to znowu po powrocie litując się nad kośćmi, co tak ustawicznie misyjne jarzmo ciągną. Po przedłożeniu ostatniego sprawozdania, które w całej osnowie podały nasze *Roczniki* (Rok IX. 1903, Nr. 3, str. 68 i następne) od tego czasu w samym roku 1902 daliśmy misyi 9 i to poważnych, a już do chwili, kiedy te uwagi notuję w r. 1903, uzbierało się 10 innych misyi, czyli razem 19. Stają mi one dziś przed oczami jak las, z którego kiedy i jak wybrnę, nie wiem; ale przecież wybrnąć trzeba. Pisząc ostatnie wyżej cytowane sprawozdanie, rozdzieliłem odnośne opowiadanie na trzy części: z tych jedna była całkowicie i wyczerpująco skończona poprzednio, dwie inne obecnie przedkładam na pociechę X. Wizytatorowi, a gdyby się i inni ciekawi znaleźli, niech i oni się ucieszą.

b) Misye wiosenne w roku 1902 odprawione.

Tymbark.

Na samem czele prac naszych w tym czasie stoi Tymbark. Na wspomnienie nazwiska Tymbarku (czy według ludowej nazwy Tomborku) jakoś się serce rusza i uśmiecha, a nie wiem czemu? Przed 8 laty, kiedyśmy tu przez 16 dni pracowali, tyle poczciwości i dobrych przymiotów w ludzie tutejszym zauważyliśmy, że i trudno było stąd się wybrać. Gdzieśmy się w okolicy pojawili później, pełno Tomborczanów za nami ciągło, kilka panienek z tej parafii zaraz po tamtej misyi wstąpiło do Zgromadzenia i już są dziś siostrami Miłosierdzia; inni regularnie co roku zaglądają do nas na Kleparz na uroczystość św. Wincentego, lubo, mówiąc prawdę, cześć naszego św. Ojca jeszcze tak mało wśród naszego ludu znana. Ta i nas coś zawsze ciągło do tego Tymbarku: ile razy wypadło nam w tych okolicach pracować, takeśmy zawsze kierowali, żeby o Tymbark zawadzić, bodaj do przezacnego proboszcza wpaść i z nim pogwarzyć, bodaj kościół odwiedzić w przejeździe i krzyż misyjny ucałować. Rzadko która parafia tak jakoś się serca czepi, jak ten poczciwy Tymbark.

Jeszcze w roku 1754 pracowali tu nasi praojcowie, jak nasze stare dzieje podają. Było ich trzech: XX. Kosk, Konarski i Trutowski, a kleryk Jan Galiński katechizował. Misya trwała od św. Józefa do Niedzieli Palmowej, która wypadła dnia 7 kwietnia. Już tamci poprzednicy nasi doznali tu wielkich pociech i chwalą lud tutejszy, że pomimo deszczów ustawicznych i śniegu licznie się zbierał na nauki, grzechy i nałogi zastarzałe porzucał. Odbyła się tu dawno misya jeszcze w starym drewnianym kościele; myśmy dawali obydwie misye w obecnym murowanym.

Ostatni raz, to jest w czerwcu roku 1894, było nas tu 4, to jest XX. Kamiński, Buchhorn, Tyczka i niżej podpisany. Misya ta niesłychane owoce przyniosła; wspomnę tu choćby tę okoliczność, że w czasie samej misyi powiązaliśmy

prawnie kilkanaście par małżeńskich, które z przeszkodami kanonicznemi były zawarte. Inne okoliczności krótko, ale dokładnie opisał towarzysz naonczas misyjnej broni a obecnie superyor w Jezierzanach, X. Buchhorn. Sam proboszcz X. Kumorek opowiadał nam, że jakie 4, 5 lat po misyi parafianie żyli jakby zakonnicy w pobożnym klasztorze. Pijaństwo do szczętu upadło, żydzi szynki pozamykali, a jeżeli się który utrzymał, to tylko przy jarmarkach, jak mu obcy ludzie dali utargować; ustały zbytki, które zwykle z pijaństwem idą w parze. Starzy kawalerzy, co dotąd z lekka żyli i bałamucili świat, zaraz po misyi pożenili się i nastał spokój; procesy, pieniactwo, włóczenia się po sądach również ustały — słowem, parafia cała jakby ożyła. Dopiero po kilku latach zaczęły dawne przywary głowę podnosić, a naprzód pijaństwo, później inne przydatki, i to jakoś tak niewinnie, nieznacznie posłańcy szatana zaczęli to dzieło zepsucia w parafii szerzyć, że ich nie można było dochwycić. W znacznej części przyłożyli się do tego wolarze, co tu na jarmarkach bydło skupują, a jeszcze więcej od nich pomógł szatanowi pobożny jeden zelator, który pod płaszczykiem pobożności włócząc się po domach, leki najrozmaitsze, nawet przedmioty pobożne ludziom podając, psuł ich, rozpijał, demoralizował. Dawniej było się spotkać z X. Kumorkiem, to tylko wychwalał swoich parafian, a ostatnimi czasami ubolewał nad nimi zacny pasterz. Gdy więc inni sąsiedzi w Limanowej, Łososinie, Ujanowicach już u siebie renowacyę zarządzili, postanowił i on spróbować tego środka, żeby chwast z parafii wyplenić. Zależało mu wiele na tem, żeby i tych przychwycić, co z wiosną w Prusy i na Węgry za robotą jadą. Odbyła się też ta renowacya od I. do II. niedzieli postu, to jest od 16 do 24 lutego. Było nas tym razem trzech, t. j. XX. Kamiński, Krzyszkowski i niżej podpisany. Kościół wewnątrz znacznie przyozdobiony, wielki ołtarz nowy: wielka zmiana po ostatniej misyi, i to nas nieco cieszyło; ale i boleść budziła się w sercu na samą myśl, że te żywe kościoły Boże, t. j. parafian tutejszych, których Bóg pozwolił tak ładnie na ostatniej misyi ogrzebać z grzechów, ozdobić

pobożnością i innemi cnotami, świętokradzka ręka sprofanowała! Jak się raz figura stłucze, to ją byle kto zlepi; ale jeżeli ponownie upadnie i pokruszy się, już ją trudniej naprawić, a myśmy prawie ci sami, co i poprzednio tu zjechali. Wezwawszy Ducha św. na pomoc, zabraliśmy się do pracy. W naukach chwaliło się poczciwych, którzy tak ładnie z tamtej misyi skorzystali; ale też nie szczędziło się i najostrzejszych filipik tym, którzy łaskę Bożą zdeptali. W czasie tych renowacyi obchodzono 50 lat biskupstwa Ojca św. Leona XIII., przyczem N. Konsystorz tarnowski zarządził, żeby wśród nabożeństwa powiedzieć ludowi stosowną naukę. Trafiło to właśnie w dzień generalnej Komunii kobiet i dziewcząt. Jeden z Misyonarzy, któremu wypadło mieć tę naukę, wspomniał, że Ojciec św., Jubilat, Leon XIII-ty, pomiędzy zasługami, jakiemi swój Pontyfikat uświetnił, ma i tę niezrównaną zasługę, że w świecie katolickim wskrzesił i ożywił nabożeństwo różańcowe, stąd też Papieżem różańcowym go nazywają. Wszystkie kobiety i dziewczęta miały w tym dniu Komunię św. za Ojca św. ofiarować i to też uczyniły w liczbie 1150, a potem do Różańca dać się zapisać. Kiedy zaś po nabożeństwie całemi masami zaczęły się cisnąć do Różańca, zatrzymało się je, oświadczając, że skoro po ostatniej misyi najwięcej chwastu pomiędzy różańcami się pojawiło, wiele pokrzyw a róż prawdziwych maleńko, dlatego teraz wpisu nie będzie, aż się poprawią. Chłopów za to i chłopaków najgoręcej będziemy zachęcać i przyjmować, bo na nich prędzej się można spuścić, a babska pobożność to jak wióra. To była najsurowsza pokuta dla tych pustelnic. Tym fortelem udało się też zgrabnie i różyczki wydobyć z pokątnej opieki onego pseudo-zelatora, który znowu zanadto był poważny, żeby go wprost atakować, a skoro się raz jego wpływ w parafii zachwiało, to i zwycięstwo po naszej stronie. Widząc się od wszystkich opuszczonym a nawet wyśmianym, już podczas tej misyi zaczął myśleć o opuszczeniu Tymbarku, co też podobno wkrótce zrobił. Skoro się to największe złe zachwiało, reszta pracy szła łatwo, a nawet przyjemnie. Lud w gruncie ten sam, jakime-

śmy się poprzednio delektowali: na nauki szedł chętnie i słuchał ich z ciekawością, do spowiedzi garnął się ze skruchą i natarczywością. Praca w konfesyonale po większej części szła gładko, bo prawie wszyscy na ostatniej misyi generalne spowiedzi składali. Wyspowiadało się kobiet i dziewcząt 1150, chłopów i chłopaków 1100, razem 2250. Do św. Trzeźwości przystąpiło świeżych 600, a inni wszyscy ponawiali swe obietnice. Spowiedzi męskiej seryi skończyliśmy na niedzielę; dlatego już w poniedziałek dnia 24 lutego mogliśmy wrócić do Krakowa.

Ruszcza.

Na Łętowni zeszłego roku (1901) zakończyliśmy wszystkie misye w parafiach, do dyecezyi krakowskiej należących, przez JEm. X. kardynała Puzynę zarządzone. W roku obecnym rozpoczęto powtórny kurs misyjny po tejże dyecezyi, a idąc chronologicznym porządkiem, wypadło naprzód wziąć dekanat bolechowicki. Poprzednio, jak się tu pierwsze misye odbywały (1895), myśmy byli zajęci pracami w dyecezyi tarnowskiej, i tuśmy wcale udziału wziąć nie mogli; cały dekanat przebiegli wtenczas OO. Jezuici. Lud jak błędny nie złożywszy ze sumień ciężarów w czasie misyi, chodził jeszcze długo potem po kościołach krakowskich; jednym się udało w Krakowie dostąpić generalnej spowiedzi, inni tacy niedowarzeni zostali. Niektórzy gorliwsi proboszczowie od siebie renowacye urządzali w swoich parafiach. Tak w Mogile dwa czy trzy razy byli OO. Redemptoryści, w Pleszowie ci sami, w Modlnicy *respective* w Zabierzowie byli OO. Reformaci, w Ruszczy OO. Redemptoryści, w Raciborowicach Jezuici, w Zielonkach nas wezwał X. proboszcz Michalik na poprawkę, bo nie było można ludu uspokoić. Tak to z misyami żartu nie ma: albo podjąć się i zrobić uczciwie, albo dać lepiej pokój.

W Ruszczy po dwakroć dawni konfratrzy ze Stradomia pracowali: raz w roku 1718, a drugi raz 1749 roku. Drogie sercu każdego misyonarza są zapiski konfratrów, którzy przeszło 100 lat temu zlewali potem apostolskim tę samą ziemię,

nad którą i my teraz pracujemy. Nazwisk konfratrów, którzy dali misyę w Ruszczy w roku 1718, już nie można odcyfrować. Byli tu pod jesień. Lud zastali czy pracami w polu zajęty, czy tępy i obojętny — dosyć, że z początku mało się na misyę garnęli: *erant rari nantes in gurgite vasto* — pisze kronikarz; dopiero przy końcu ruszyli się i nadbiegli takiemi falangami, że im rady Misyonarze dać nie mogli. Wyspowiadano około 2000; reszta poszła za nimi do Krakowa. W roku 1749 lepszego doznali powodzenia konfratrzy. Od samego początku garnął się lud licznie i z misyi korzystał, czego dowodem i ta okoliczność, że generalnych spowiedzi wysłuchano z górą 1600; odprawiono uroczystą procesyą z Ewangeliami (jak na Boże Ciało) — taki był dawniej zwyczaj. Na tej misyi pracowali XX.: Michał Brzozowski, Walenty Jankowski, Benedykt Łuczaj i Jan Dylman; katechizacyę zaś prowadził kleryk Bartłomiej Jeżowski. To urywek z dawnych wspomnień. Nie mogłem się oprzeć pokusie, żeby go nie podać na tem miejscu.

Myśmy okropnie byli zawaleni pracami na początku roku 1902, kiedy i misyę w Ruszczy wypadło podjąć. Prócz kilku prac na parafiach konfratrzy do misyi przeznaczeni, udzielili się z pomocą gdzieindziej. I tak: X. Dylla dał rekolekcye Siostrom na Kleparzu, a potem miał dawać rekolekcye pannom w szkole św. Scholastyki; X. Krzyszkowski prawie równocześnie wyjechał do Poznania, gdzie go czekały rekolekcye Sióstr u Przemienienia Pańskiego, tudzież rekolekcye dla Pań Miłosiernych u św. Józefa, a reszta Misyonarzy kursujących, prócz Tymbarku, miała dać misye w Ruszczy i aż na krańcu wschodnim Galicyi, w Jezierzanach — wszystko oparło się tak na nas na ten święty Post.

Po długich kombinacyach tak się sprawy ułożyły, że do Jezierzan wyjechaliśmy obaj z X. Kamińskim, a do Ruszczy przyłączył się do nas i X. Dylla.

Misyę tę czyli renowacyę daliśmy w terminie od 1 do 9 marca. Lud tu czysto krakowski sławny ze swego stroju; małe chłopaczki w czerwonych bluskach, jak wojsko jednego

kroju i koloru; starsi w białych wcinanych sukmankach chodzą, a na głowach mają słynne krakowskie rogatki z pawiemi piórkami. Kobiety i dziewczęta noszą kaftaniki jasnego koloru, gęsto koralikami wyszywane, na głowach chusteczki również jasnymi kwiatkami zdobne i jeszcze się pstremi chustkami na to wszystko okrywają; u dołu ubranie kuse, prawie po kolana. Za to buty wspaniałe, polskie, z karbami cholewy, korki wysokie. Kościół jest położony na górze dosyć stromej, a mimo to aż do ostatnich lat nie pomyślano tu o jakich schodach, żeby ludzie wygodnie do kościoła mogli się dostać. Z dziada pradziada przywykli do spinania się po górze i dobrze im z tem było. Obecnie X. Kwiatkowski będąc tu wikarym, urządził schody kamienne wspaniałe, jednak chodzą nimi tylko staruszkowie i kaleki, reszta po staremu bokami się wspina.

Myśmy się wybrali po krakowsku w kaloszach. Oj bieda była bieda z plebanii do kościoła i na odwrót zajść cało. Zrana szło się do kościoła, kiedy jeszcze ciemno było i tak samo po ciemku wracało się wieczorem na plebanię.

Ponieważ i misya wypadła na sam czas wielkanocnej spowiedzi, to też i w kościele słuchacza ani penitenta nie brakło. Rozdzieliliśmy lud starym obyczajem na dwie partye: żeńską i męską. Ze względu, że to nie była pierwsza misya, jeno renowacya, dziennie po dwie nauki miewaliśmy i to przeważnie treści moralnej. Wiele i tak wiedzieli z nauk mądrych ojców, co tu przed nami pracowali, nam wypadło raczej popędzać ich do pełnienia tego, co wiedzieli. Naród ruchliwy do Boga, ale i do zbytków. Między młodzieżą upowszechniła się tu z dawna moda kaleczenia się kozikami. Jak żołnierze z bagnetami, tak tu każdy chłopak z kozikiem chodzi. Zajdą do Krakowa lub gdzie na jarmark, pierwsza rzecz, za którą patrzą, to kram, gdzie koziki sprzedają... a biją się, ranią, jak koguty. Zbytki, psoty najrozmaitsze u nich do dobrego tonu należą. W czasie misyi przyszli starsi ze skargą na tych zbytników.

Pola tu po większej części położone nad Wisłą, wilgotne, muszą drenować. Kiedy sobie który gospodarz nawiezie rurek z Niepołomic, to ich ustrzedz nie może. Jak tylko poskłada rurki, już się jaki zbytnik nawinie, poderwie jednę od dołu, a za nią inne zlecą i potłuką się, a psotnik ucieknie rad, że mu się sztuka udała. Do ślubowania ani nagiąć. Tłumaczyli się tem, że żyją w błotach, to im potrzeba gorzałki, żeby się zagrzać, jak Wisła wyleje. Wyspowiadaliśmy przy pomocy księży kondekanalnych ogółem 2.200; nauk powiedziało się okrągło 20. Spowiedzi mężczyzn skończyliśmy już w piątek dnia 7-go marca pod wieczór. To też następnego dnia dało się generalną Komunię, a zakończywszy pracę rano uroczystą konkluzyą, już pod wieczór tegoż dnia wróciliśmy na Kleparz. Tu został X. Dylla, by głosić konferencye u św. Scholastyki, tudzież w zakładzie Helclów, a myśmy obaj z X. Kamińskim wyjechali z początkiem następnego tygodnia do Jezierzan, by tam dać misyę, o której osobną relacyę poprzednio złożyłem.

Pleszów.

W Jezierzanach już nas i święta wielkanocne zaskoczyły. Wróciliśmy stamtąd dopiero w środę po Wielkiejnocy na Kleparz, dokąd poprzednio przybył i X. Krzyszkowski z Poznania. Sprzągnęliśmy tedy same młode siły a naszego seniora X. Kamińskiego tymczasem zostawiwszy na wypoczynku, wybraliśmy się na dalszą pracę w dekanacie bolechowskim. W Pleszowie obok Ruszczy zaczęliśmy misyę w sobotę przed niedzielą przewodnią, t. j. dnia 5 kwietnia na nieszporach. W dyecezyi krakowskiej uroczystość Zwiastowania N. Panny jeżeli wypadnie w W. tygodniu, przenosi się na poniedziałek *in albis*. Tak w tym roku wypadło. Ztąd mając 2 dni świąt z rzędu na samym początku misyi i lud cały pod ręką w te dni świąteczne, mówiliśmy po 3 nauki dziennie, w inne zaś po 2 tylko. Poza świętami osobny jeden dzień był dla seryi żeńskiej i osobny dla mężczyzn. W słuchaniu spowiedzi dopomogli znowu księża kondekanalni i całą pracę skończyliśmy

już w piątek dnia 11 kwietnia. Nauk powiedzieliśmy 17, wyspowiadało się 1500, prawie wszyscy z wielkanocnemi kartkami. Wiedząc, że będzie misya zaraz po świętach, czekali na nas. Lud prawie tensam, co i w Ruszczy, bo to najbliższe sąsiedztwo. I tu już dawni konfratrzy krakowscy 2 razy misye dawali. W r. 1695 byli tu XX. Fabri, Rostkowski, Cybulakowski i Strachowski. Dawali tu misye wśród najostrzejszej zimy od niedzieli przed Bożem Narodzeniem aż do Trzech Króli. Spowiedzi generalnych wysłuchali przeszło 1700. Na konkluzyę przybył i bierzmowania udzielał N. X. biskup Szembek, sufragan krakowski. Drugą misyę dali tu konfratrzy ze Zamku od 4 niedzieli po Wielkiejnocy do wtorku po Zielonych Świątkach w r. 1741. Naród ze wszystkich stron procesyami ciągnął, śpiewając drogą pobożne pieśni. Na zakończenie znowu zjechał sufragan krakowski X. biskup Kunicki i wybierzmował 1600 osób.

Myśmy w piątek dnia 11 kwietnia wieczorem wrócili na Kleparz, gdzie się już konfratrzy zjeżdzali na konwent prowincyonalny.

Mogiła.

W sobotę dnia 19 kwietnia równie jak poprzednio na nieszporach zaczęliśmy pracę w Mogile pod Krakowem. Sławna jest ta Mogiła w świecie polskim kopcem, czyli mogiłą Wandy, która się obok wioski wznosi; sławna klasztorem i kościołem OO. Cystersów, którzy tu mają cudowny obraz P. Jezusa. Rokrocznie nadciągają tu przez całą oktawę Podwyższenia św. Krzyża tysiące ludu z najdalszych górskich zakątków; a obecnie cieszy się Mogiła sławą pasterza wymownego kaznodziei, wiernego i świątobliwego kapłana X. Wojciecha Siedleckiego. Rozpoczynając pracę w tej parafii, baliśmy się, żeby czasem czego nie zepsuć zamiast naprawić; bo i cała parafia mogilska (choć to tak blisko Krakowa) pod okiem kapłana *secundum cor Dei* rozwija się jak kwiatek na bujnej ziemi, kiedy mu wiosenne słoneczko przyświeca. Sam pasterz pracuje z wikaryuszem niestrudzenie; niedawno spro-

wadził do parafii Zgromadzenie Siόstr służebniczek, które ochronkę prowadzą, chorych odwiedzają, zbierają u siebie i dziatki małe i starszych, pouczają i, jak gdzieindziej po wiejskich parafiach, tak i tu w Mogile wiele dobrego robią. Myśleliśmy z początku 3-dniówkę tylko urządzić; ale na naleganie X. proboszcza i dziekana Siedleckiego przeciągnęliśmy tę pracę do dni sześciu. I w sam raz pracy starczyło, choć i księża sąsiedzi o nas nie zapominali. Kąkolu, który się i pomiędzy najpiękniejszą pszeniczką trafi, pojawiło się i tu nieco. Niektórzy po poprzednich misyach zaczęli sobie luźno tłumaczyć ślubowania i pokątnie popijać zarzucony trunek; było kilka niezgodnych małżeństw itp. Na te i tym podobne wady w parafii nastawaliśmy jak się dało, resztę Bogu polecając. Wyspowiadało się ogółem przeszło 1400 osób, chociaż prawie wszyscy już w czasie wielkanocnym spowiadali się. Na zakończenie wypadła procesya w dzień św. Marka przepisana. Poszliśmy do klasztoru procesyonalnie, a już popołudniu tego dnia 25 kwietnia wróciliśmy obaj z X. Krzyszkowskim na Kleparz. X. Dylla nieco rychlej wyjechał, by pomódz X. Koniecznemu z Witkowa w misyi w Stojanowie. Tak się odbyły misye w dekanacie bolechowickim.

Wadowice górne.

Rzadko który rok nagarnął nam prace tak rozstrzelone po rozmaitych punktach naszego kraju, jak ten 1902. Co trochę to gdzieindziej trzeba się było przenosić; coraz to inną bronią walczyć, bo i coraz to innych spotykało się ludzi, to lachów od Tymbarku, to Rusinów z Podola, to znowu Krakusów, ażeśmy wreszcie wjechali w zarośla i piachy nad Wisłoką, wśród kutych Mazurów.

Wadowice górne bowiem jestto wioska w powiecie Mieleckim nad Wisłoką położona. Dnia 7 maja wybrało się nas 4 na misye w tej parafii: XX. Kamiński, Krzyszkowski, Dylla i ja. Parafia liczy przeszło 6000 dusz, a z tych jaka połowa bawi w Ameryce. To jednak trzeba przyznać na pochwałę tutejszych parafian, że jeżeli jadą za granicę, to nie z cieka-

wości albo dla zbytków, ale z konieczności. Rodziny mają liczne, a tu ziemia biedna, piaszczysta, zarobków niema — to się tylko Ameryką ratują. I taki też tu w całej okolicy obyczaj panuje. Jadą za oceany, żyją trzeźwo i oszczędnie, a uzbierawszy nieco grosza, wracają do swoich. Lud bardzo nam się nadał. O ruchach nowoczesnych, które w innych parafiach ludziom głowy poprzewracały, wcale tu nie słychać; lud prawy do Boga i sług Jego przywiązany, posłuszny. Analfabetów jeszcze całe masy; młodzież już więcej do książki zagląda. Zwyczaje tu jeszcze utrzymały się staropolskie.

Kościółek maluczki i bardzo już zębem czasu zniszczony. Prawie wszystkie nabożeństwa trzeba było na cmentarzu odprawiać. Rozdzieliliśmy parafian na 4 grupy według stanów, a i tak się nie mogli pomieścić. Napływ ludu od początku do końca był ogromny; prócz miejscowych parafian nadciągło tu prawie całe Zgórsko, gdzieśmy tak dobrze znani, dalej Przecław, Szczucin, Czermin, Radomyśl, Zdrarzec, słowem cała okolica korzystała. Dwa dzikie związki przecież się udało rozbić i zgorszenie usunąć, a do trzeźwości garnęliśmy całemi masami. W obrębie parafii jest i drugi kościół św. Apolonii; parafianie miejscowi i okoliczni bardzo są do niego przywiązani. Żeby ich ucieszyć, rozpoczęcie seryi chłopskiej urządziliśmy w tym kościele. Narodu naszło wtedy co najmniej 3 do 4 tysięcy. Odprawiło się solenne nieszpory, po których X. Kamiński ogniste powiedział kazanie. Wyspowiadało się ogółem 3550 dusz. Do św. Trzeźwości przystąpiło 4000 miejscowych, a obcych bez liczby; skorzystało się bowiem z każdego większego konkursu i naciągało pątników pod sztandar św. Trzeźwości. Kilka miesięcy po tej misyi wypadło nam pracować w tej okolicy. Korzystając z tego proboszcz, zaprosił nas z pomocą w słuchaniu wielkanocnej spowiedzi. Jak się ci biedni ucieszyli, żeśmy ich odwiedzili! wszystko jakby ożyło i pijaństwo ustało bez śladu, lud wiernie przy Bogu stoi. Rozpowiadali nam rozmaitości już i nie wiedząc, jak zaznaczyć swoją radość, że nas zobaczyli; w kościele śpiewali nową pieśń o Najśw. Pannie z Lourdes „*Anielską*

pieśń dzwon grał", której się nauczyli. Odbyła się tu misya od 7 do 26 maja. Między seryami co się tylko wolnego czasu dorwało, tośmy szli spacerem do Zgórska, by przezacnego tamtejszego proboszcza uścisnąć. On pierwszy do tej okolicy nas ściągnął i na tę misyę on „dzwonił".

c) Misye jesienne w roku 1902 odprawione.

W dalszym ciągu prac renowacyjnych J. Em. X. kard. Puzyna wyznaczył nam na obecną jesień 4 parafie z dekanatu żywieckiego i to tesame, któreśmy już poprzednio, t. j. w r. 1895 obrobili. Sprawozdanie o tych misyach złożyłem w swoim czasie na ręce ś. p. X. wizytatora Soubielle, co też „Roczniki" nasze zamieściły.

Obecnie w kółku naszem misyjnem zaszła drobna zmiana, ta mianowicie, że X. Dylla przeznaczony został od wakacyj tego roku do szpitala św. Łazarza, a na jego miejsce przybył X. Franciszek Trawniczek.

Rychwałd.

Tu już po raz trzeci pracą Misyonarzy miała się ożywić parafia. Pierwsi starodawni jeszcze w r. 1718 tu byli. Zaczęli misyę w samą uroczystość Trójcy Przenajśw., w którym to dniu przypada odpust tytularny kościoła, a skończyli po 4 tygodniach. Narodu mieli całe nieprzeliczone masy, że i policzyć nie mogli uczestniczących. Z tego czasu został chyba tylko portret ówczesnego proboszcza, X. Plucińskiego, który konfratrów z misyą do Rychwałdu zaprosił. Myśmy to byli we czwórkę (XX. Kamiński, Buchhorn, Krzyszkowski i ja) w r. 1895 i pracowaliśmy przez 2 i pół tygodnia. Obecnie było nas aż 5 na tej poprawce, t. j. XX. Kamiński, Krzyszkowski, Trawniczek i ja, a nadto i X. Szulc, bawiąc na wakacyach po powrocie z Rzymu, do nas się przyłączył. Zaczęła się ta renowacya dnia 6 września, a skończyliśmy pracę dnia 14 tegoż miesiąca. Na początku wypadło 2 dni świąt, ludzi wtedy więcej, fabrykanci w domu, tośmy po 3 nauki dziennie

miewali; w inne zaś dni po 2 tylko. Rychwałdzka parafia po ostatniej misyi zmieniła się bardzo. Gorliwy proboszcz obecny X. Gwoździewicz, kościół pokrył i odnowił na zewnątrz cały, a wewnątrz nieco. Parafii pilnuje z wielką gorliwością. Mężczyźni poprzednie misye poważnie sobie do serca wzięli; kobiety nie tyle, jeszcze się trafią pustoty, niezgoda w małżeństwie, a przy tem wszystkiem wykręty — brak szczerości. Nauk powiedzieliśmy 22, a wyspowiadało się ogółem 3700 dusz. Ślubowania św. Trzeźwości szły starym porządkiem; kto ślubował, to teraz potwierdzał, a inni na nowo ślubowali.

Jeleśnia.

Za naszej pamięci jużeśmy tu po raz trzeci zajrzeli. Misyę z r. 1895, tudzież renowacyę z r. 1898 opisałem swojego czasu. Obecnie z Rychwałdu X. Szulc wrócił na Żywiec, Bielsko, do Krakowa, a inni czterej tuśmy zjechali popołudniu dnia 14 września i zabawili do 23 tegoż miesiąca. Nauk powiedzieliśmy 22, a wyspowiadało się ogółem 6800 dusz. Większą jednak pociechę mieliśmy na poprzedniej renowacyi, aniżeli obecnie. Młodzież zaczyna na dobre broić i to haniebnie bezwstydnie; starszych wiele wymarło, znaczna część światami jeździ, a inni po staremu broją. W pijaństwie nieco sfolgowali o tyle, że się do gorzałki nie biorą, ale piwem, winem, to sobie lubią dogodzić. Szkoda parafii takiej ludnej.

Rajcza.

I tu już po raz trzeci bawili Misyonarze i to kleparscy. W roku 1882 był tu ś. p. X. Bąkowski; myśmy tu dali poważną misyę w r. 1895, jedną z najpiękniejszych, a teraz trzecim powrotem tuśmy przybyli. Odbyła się ta poprawka w terminie od 4 do 14 października. Ostatnia misya z r. 1895 głębokie pozostawiła ślady; szkoda tylko, że w miejscu za mało znalazła poparcia i podtrzymania. Parafia rozrzucona po górach i przepaściach około 1400 dusz liczy. Frekwencya była na tej poprawce dosyć znaczna, ale już nie taka jak poprzednio. Trafiła ta misyjka na porę chłodną i wilgotną.

Kiedy przyszli ludzie z odległych wiosek, nie mieli gdzie nocować, bo katolickich domów niema, a na polu zimno i tak garnął się ten biedny lud jak woda w Sole. Nauk powiedzieliśmy tu 22, a wyspowiadało się 6500 osób.

Gilowice.

Z Rajczy X. Kamiński odjechał do Krakowa, a my przez Żywiec udaliśmy się do Gilowic na ostatnią w tym czasie pracę. Wyjechał po nas na stacyę do Żywca jakiś Michałek. Z miny i obyczajów już na dworcu zauważyliśmy, że nie wprost z Gilowic po nas przybył. Po drodze nie obyło się bez awantur i wypadków, w jakie pijacy obfitują. Ostatecznie sam się przyznał, że na ostatnim jarmarku dobrze sprzedał gęsi, to sobie mógł pozwolić. Jeszcześmy pracy w kościele nie zaczęli, drugi podobny okaz pod kościół przyszedł i dalejże wydziwiać. Już te same wstępy przekonały nas dostatecznie, że tu misyi potrzeba; ale czy się przyda na co! Po ostatnich misyach niektórzy się ustatkowali, a inni jeszcze gorsi niż przedtem byli. Jestto naród ciekawy, łazi światami to się i nasłucha rozmaitości. Gazetki nowoczesne wielu w głowach poprzewracały. Żyd z karczmy się wyniósł; to znowu katolicy się do szynków wzięli, nasprowadzali „słupków“ i rozpijają, trują ludzi jeszcze bardziej, niż żyd dawniej. Proboszczyna poczciwy, nie wiele się i bierze do nich, boby im rady nie dał. W terminie od 14 do 20 października wyspowiadaliśmy przy pomocy księży sąsiadów ogółem 1400 dusz, a nauk powiedzieliśmy 14.

W całym zaś tym roku 1902 nauk i kazań misyjnych powiedzieliśmy 241, a wyspowiadało się na misyach naszych 31.510 osób; bractw i ślubowań nie liczę.

Oby te prace nasze Bogu chwały, duszom zbawienia, a nam zasługi przymnożyły!

X. Józef Sokołowicz
[illegible] k. Z. M.

KRONIKA.

Kraków. Kleparz. Z neopresbyterów zamieszkało na Kleparzu 5, t. j. XX. Janowski, Michalski Konstanty, Mazurkiewicz, Szymbor i Steinsdorfer. Z pomiędzy nich X. Janowski jest katechetą szkoły wydziałowej w Krakowie, X. Mazurkiewicz objął kapelanią u świętej Anny w zakładzie Helclów i szkołę dzieci niemieckich u SS. Miłości Bożej na Pędzichowie, X. Michalski uczęszcza na uniwersytet i jest profesorem w klasie VI., natomiast XX. Szymbor i Steinsdorfer pracują w kościele i przeznaczeni są do misyi.

Od 8—17 września dawał przewielebny X. wizytator Kiedrowski rekolekcye Siostrom służebnym na Kleparzu. Z końcem zaś września, X. Sokołowicz tę samą duchowną usługę oddawał Siostrom w Chełmnie, a następnie w Bysławku darzył duchownym pokarmem przez trzy dni Siostry wysłużone, które zamieszkują stary po Benedyktyński klasztor. Niedługo potem od 4 października odprawił znowu ośmiodniowe rekolekcye z Siostrami w Poznaniu. Towarzyszył mu i pomagał w tych pracach X. wizytator Kiedrowski.

Na początku lipca przewodniczył X. wizytator rekolekcyom Sióstr służebnych w Chełmnie, w sierpniu zaś miał X. Binek ośmiodniowe nauki rekolekcyjne na Kleparzu.

W bieżącym kwartale spadła na nas ciężka żałoba z powodu śmierci wielkiego papieża, Leona XIII., którą wraz z całym Kościołem odprawialiśmy solennie wedle przepisów dyecezyalnych. W trzy tygodnie potem nowa żałoba przeniknęła nasze serca, bo oto umarł 10 sierpnia ś. p. X. Dr Wincenty Smoczyński, prepozyt kolegiaty św. Floryana i proboszcz tejże parafii. Wszyscyśmy głęboko odczuli stratę tego męża, iście apostolskiego ducha. Był on naprawdę ozdobą Kościoła w Pol-

sce, znany ze swej gorliwości i nauki w Polsce i poza jej granicami. Kilka razy ów niestrudzony miłośnik papiestwa wiódł zastępy polskie do grobu św. Piotra i do stóp Ojca św. Dla naszego Zgromadzenia okazywał się zawsze przyjacielem najżyczliwszym. Zanim osiadł u św. Floryana, czas jakiś u nas zamieszkał, a i potem nieraz, snadź strudzon i przygnębion na duchu, wpadał do nas, aby się rozerwać i wytchnąć między nami. Wszyscy pamiętamy, w jak gorących słowach zaznaczał swoją dla Zgromadzenia naszego przychylność przy każdej sposobności. Czem mógł, zaznaczał tę szczerą ku nam życzliwość nietylko słowy, ale i uczynkami. To też dziwnie piękna harmonia, miłość wzajemna i szacunek zadzierzgał się między czcigodnym X. Prałatem a Misyonarzami. Z uwielbieniem spoglądaliśmy na olbrzymie przedsięwzięcia tego męża Bożego. Przez trzy lata, jakie spędził u św. Floryana, więcej dokonał, niż inni przez kilkadziesiąt lat. Pod tchnieniem jego niezmordowanej gorliwości wszystko ożywiać się poczęło — zaprowadził nabożeństwa w kościele, lud wymownemi usty do Boga pociągał. Obok tego rozpoczął restauracyę kościoła i budowę wież i kaplic na wielką skalę, wystawił nowy skarbiec i zakrystyą, sprowadzał ołtarze marmurowe, owe cenne pamiątki z Padwy — słowem i w całości i w szczegółach olbrzymiej restauracyi widać było i umiejętną rękę i miłujące serce i smak artystyczny, a nadewszystko szczodrobliwość i hojność dla P. Boga bez granic. Mawiał, że dla miłości Boga i serce pozwoliłby sobie wyrwać. I to wszystko czynił własnym kosztem. Niedawno kościół św. Floryana zniszczony, odarty i prawie walący się, smutny widok przedstawiał na zewnątrz i wewnątrz, a teraz ze smukłemi wieżycami i w odnowionej szacie pięknie się przedstawia. W planie miał jeszcze ś. p. X. Smoczyński, prócz restauracyi wewnętrznej kościoła, budowę kaplicy w Binczycach, budowę wikaryówki i stacyj drogi krzyżowej obok kościoła.

To też wierzyć się prawie nie chciało, że tak pożyteczny sługa Boży już uleciał do nieba po nagrodę. Nie tu miejsce pisać jego nekrolog, na który ze wszech miar zasługuje.

Nic więc dziwnego, żeśmy po jego stracie tak wszyscy byli smutni i zbolali, a z nami parafianie i kler i prawie cała Polska, i można do niego zastósować te słowa Pisma świętego: „Wszystek lud boleśnie płakał w dniu jego zejścia i płakać go będzie po długie lata, powtarzając: jakżeż umarł on wybrany Boży“ (Machab.). Wszyscy Misyonarze brali żywy udział w pogrzebie X. Prałata. Zwłoki jego sprowadzono do Tenczynka, gdzie na cmentarzu spoczywa. Pamięć o nim nie zginie nawet na ziemi. „Podobała się Bogu ta dusza, dlatego pokwapił się i wyrwał go z pośród nieprawości“ (Sap. 14).

Biały Kamień. Na początku maja 1903 roku objęli Misyonarze na życzenie Najprz. X. biskupa Bilczewskiego nowy dom i parafię pod swój zarząd, t. j. Biały Kamień, miasteczko pod Złoczowem. Superyorem domu i proboszczem tej parafii został X. Wilhelm Wrodarczyk, dotychczasowy superyor w Sokołówce, do pomocy jako koadjutor dodany mu został X. Jan Kominek. Parafią w Białym Kamieniu założył w roku 1613 i udatował Jerzy Korybut Wiśniowiecki, kasztelan kijowski. Do godności prepozytury wyniesiona została przez sławnego Jeremiego Wiśniowieckiego. Kościół jest murowany, konsekrowano go w roku 1766 pod tytułem Wniebowzięcia N. Maryi Panny. We wsi „Usznia“ jest kaplica niedawno zbudowana. Liczba parafian dochodzi blizko 4000. Na miejscu Siostry Miłosierdzia wybudowały kaplicę dość dużych rozmiarów, której konsekracya ma się niedługo dokonać.

Stradom. Dnia 16 października opuścił dom stradomski X. Antoni Buczkowski, udając się w charakterze superyora do Sarnek dolnych. Na pożegnanie urządzili klerycy teologowie wieczorek nowemu superyorowi, dając przez to wyraz przywiązania i wdzięczności dla swego profesora.

Kleparz. W bieżącym kwartale obchodziło Zgromadzenie SS. Miłosierdzia dwa jubileusze 50-letnie, to jest Siostry Agnieszki Zaremby, przełożonej w Maryampolu i Siostry Tekli Wężyk, przełożonej z Tenczynka.

Opis tych pięknych uroczystości z powodu braku miejsca odkładamy do następnego rocznika.

ZMARLI:

X. Filip Zy, 28 czerwca 1903 r. w Kiou-tou (Chiny), żył lat 60, w Zgromadzeniu 37.

X. Józef Dàmé, 28 lipca 1903 r. w Chieri (Włochy), żył lat 70, w Zgromadzeniu 25.

X. Józef Tobar, 8 sierpnia 1903 r. w Limpias (Hiszpania), żył lat 33, w Zgromadzeniu 7.

Kleryk Wiktor Ugualde, 8 sierpnia 1903 r. w Madrycie (Hiszpania), żył lat 21, w Zgromadzeniu 5.

Brat Jan Moermans, w sierpniu 1903 r. w Brazylii, żył lat 68, w Zgromadzeniu 39.

X. Franciszek Ertl, 15 sierpnia 1803 r. w Wiedniu (Austrya), żył lat 58, w Zgromadzeniu 26.

X. Józef Knoll, 2 września 1903 r. w Schwarzach (Austrya), żył lat 59, w Zgromadzeniu 21.

Kleryk Antoni Markiton, 17 października 1903 r. w Krakowie (Galicya), żył lat 23, w Zgromadzeniu 5.

X. Józef Alione, 12 października 1903 r. w Turynie (Lombardya), żył lat 34, w Zgromadzeniu 12.

R. I. P.

Dobre książki do nabycia u XX. Misyonarzy.

1) X. K. Gawroński: **Jasny i gruntowny wykład nauki Kościoła św.**, opr. 2·50 Kor. (Mk.).
2) Tegoż: **Historya święta**, 2 tomy razem oprawne 2·80 Kor. (Mk.).
3) X. Ludwik z Grenady: **Przewodnik grzeszników**, opr. 3·20 Kor. (Mk.).
4) X. Mioduszewski: **Śpiewnik kościelny** ze wszystkimi dod. 8 K. (Mk.).
5) Tegoż: **Kantyczka** 1·10 Kor. (Mk.).
6) **Pastorałki i kolędy** z nutami, opr. 2 Kor. (Mk.).
7) **Wiadomość o 3 Szkaplerzach** i krótkie nabożeństwo 20 hal. (fen.).
8) **Nowenna za dusze w Czyścu** 30 hal. (fen.).
9) **Officium za zmarłych** 20 hal. (fen.).
10) **Opis koronki za zmarłych** 10 hal. (fen.).
11) **O naśladowaniu J. Chrystusa**, br. 1 Kor. (Mk.), opr. 1·50 Kor. (Mk.).
12) **O naśladowaniu Najśw. P. M.**, opr. 60 hal. (fen.).
13) **Nowenna do św. Wincentego à Paulo** 30 hal. (fen.).
14) **Maksymy św. Wincentego na każdy dzień roku** 30 hal. (fen.).
15) **Nowenna do św. Tekli** 30 h. (fen.).
16) **Adoracye N. Sakr.** opr. 1 Kor. (Mk.).
17) **Nowenny do Najśw. Panny M.**, opr. 1 Kor. (Mk.).
18) S. Kat. Emmerich: **Bolesna Męka Zbawiciela naszego** 1 Kor. (Mk.), opr. 1·50 Kor. (Mk.).
19) Tejże: **Życie Najśw. Panny**, opr. 1 Kor. (Mk.).
20) **O Dzieciątku Jezus w Pradze** 20 hal. (fen.).
21) **O jedności Kościoła** 2 Kor. (Mk.).
22) **Pacierz codzienny** 10 h. (fen.).
23) **Zegarek Męki Pańskiej** 10 hal. (fen.).
24) **Ofiarowanie Męki P. za zmarłych** 10 hal. (fen.).
25) **Śpiewniczek** mniejszy 60 hal. (fen.).
26) „ większy 1 Kor. (Mk.).

27) X. Dr. Collet: **Rozmyślania rekolekcyjne**, opr. 1·40 Kor. (fen.).
28) **Pamiątka rekolekcyi** większa opr. 30 hal. (fen.).
29) „ „ mniejsza 10 hal. (fen.).
30) **Dusza przy żłóbku Chrystusa**, br. 30 hal. (fen.), opr. 40 hal. (fen.).
31) **Skarb ukryty**, opr. 80 hal. (fen.).
32) **Manualik Dzieci Maryi** po 1·60, 2 i 3 Kor. (Mk.).
33) Św. Franciszek Sal.: **Droga do życia pob.**, brosz. 1 Kor. (M.), opr. 1·50 K. (M.).
34) **Błog. Franciszek Reg. Klet** 1 Kor. (Mk.)
35) **Obrazki** z życiorysem tegoż 100 3 K. (Mk.).
36) **Żywot św. Jana Kantego**, opr. 1 Kor. (Mk.).
37) Miesiące: **Styczeń**, 38) **Marzec**, 39) **Czerwiec**, 40) **Październik**, opr. po 1 K. (Mk.). 41) **Maj** 80 h. (fen.).
42) **Nabożeństwo do Niep. Serca Maryi**, br. 30, opr. 40 hal. (fen.).
43) **Książeczka misyjna** 1 Kor. (Mk.).
44) **Książki do nab. z odpustami** po 1·60, 2 i 3 K. (Mk.).
45) **O medalu św. Benedykta** 10 h. (fen.).
46) **Listki kółek żywego różańca** po 20 hal. (fen.).
47) **Cantionale Ecclesiasticum**, opr. 5 Kor.
48) **Rituale Sacramentorum** 7 Kor.
49) **Konferencye** X. F. Gawrońskiego 2·50 Kor.
50) **Nieszpory łać.** i polskie 100 sztuk 7 K. (Mk.)
51) **Obrazy N. Oblicza P. J.** na płótnie większe i mniejsze, **Dzwonki Loretańskie** i **Okowy św. Piotra.**
52) **Nowa pieśń o N. P. Lourdeńskiej**, z melodyą 10 hal. (fen.).

W Krakowie — czcionkami drukarni Związkowej, pod zarządem A. Szyjewskiego.